POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 14-go marca 1942r.* — **Rok IV. Nr. 11**

NARODZINY NOWEJ BRONI

SPADOCHRONIARSTWO jest najmłodszym rodzajem broni w obecnej wojnie. Jakkolwiek spadochroniarze mogą się pochlubić poważnymi osiągnięciami na polu walki, są oni jeszcze nadal wojskiem przyszłości. Rozgrywające się wypadki staną się miarą właściwej oceny tej na wskroś nowoczesnej broni, której ambicje—może ze względu na dobór ambitnego i wyborowego elementu żołnierskiego—są bardzo rozległe.

Idea wojsk spadochronowych zrodziła się jeszcze podczas ostatniej wojny. Jeden z generałów wojsk alianckich Billy Mitchell wysuwał projekt zakrojonego na dość rozległą skalę desantu spadochronowego w postaci lądowania 20 tysięcy ludzi na tyły wojsk niemieckich. Myśl tego amerykańskiego entuzjasty spadochroniarstwa nie została urzeczywistniona zarówno ze względu na braki techniczne, jak i wskutek przerwania działań wojennych. Odtąd zarówno Amerykanie, jak i inne demokracje tracą zainteresowanie dla całej sprawy.

Jedynie Niemcy i Rosja Sowiecka zajmowały się nadal usilnie spadochroniarstwem. Posłuchajmy, co już w roku 1933 mówił niemiecki generał von Mitsch wobec Towarzystwa Wiedzy Wojskowej o roli spadochroniarzy i piechoty powietrznej:

"W przyszłej wojnie opór nieprzyjaciela, umocnionego w nowoczesnych fortyfikacjach, nie może być przełamany starymi sposobami. Stoją przed nami nowe drogi do złamania jego obrony w możliwie najkrótszym czasie, bez zbyt wielkich ofiar w ludziach i materiale." Metody te —zdaniem mówcy—to: 1/ masowe użycie bombowców nurkowych, współdziałających z dywizjami pancernymi, i 2/ użycie wielkich formacji spadochroniarzy (*Fallschirmjäger*) oraz piechoty powietrznej.

Śmiałe wywody niemieckiego generała nie były gołosłownym mędrkowaniem: kryły się za nimi zarówno tajne plany konkretnych działań, jak i wstępne prace i ćwiczenia praktyczne. Próbę wojskowego użycia spadochroniarzy zademonstrował były kapitan policji (obecny generał) Wecke, który wkrótce po dojściu do władzy Hitlera posługiwał się specjalnym Oddziałem Policji Powietrznej. Lądujący nagle z samolotu policjanci stanowili całkowite zaskoczenie dla ukrywających się wrogów Nowej Rzeszy; wyniki były wspaniałe.

Akcja postępowego policjanta niemieckiego została skwapliwie wyzyskana przez nazistowskich leaderów dla celów ściśle wojskowych. Policyjne formacje powietrzne kpt. Wecke'go stały się w r. 1935 zawiązkiem wojskowych oddziałów spadochronowych, które przeprowadzały ćwiczenia na większą skalę w górach Hartzu oraz w zachodniej części Niemiec.

Od tego czasu nie zaniedbywano dociekań teoretycznych, a zarazem gromadzono nowe doświadczenia taktyczne. Wynalazek jednego z narodowych socjalistów, niejakiego Eschnera, pozwalający na automatyczne otwieranie spadochronu, umożliwił w międzyczasie skoki z niewielkich wysokości (poniżej 300 stóp). Rosły szeregi spadochroniarzy, powstawały bataliony i pułki powietrzne. Znaczenie tych oddziałów można dziś ocenić na podstawie ich udziału w opanowywaniu Belgii, Holandii, Francji i wreszcie Krety.

Wiele wysiłku włożył w rozbudowę spadochroniarstwa Związek Sowiecki. Niektórzy znawcy zagadnienia twierdzą wręcz, że zasady wojskowego użycia spadochroniarzy były właściwie tworem sowieckim. To pewna, że Sowiety potraktowały spadochroniarstwo poważnie i z wiarą w jego przyszłość. Hasłem chwili stało się w pewnym okresie "uświadomienie spadochronowe" całego społeczeństwa. Wiele miast miało podobno własne wieże spadochronowe, z których skakali mężczyźni, kobiety i dzieci. W latach 1935 i 1936 podczas manewrów Czerwonej Armii, zakrojonych na wielką skalę, przeprowadzono ćwiczenia jednej kompletnej brygady spadochronowej. Jedynym attaché wojskowym, który przyglądał się tym manewrom, był brytyjski generał Wavell.

Doświadczenia i postępy sowieckie zapłodniły z kolei wojskową myśl francuską. Stało się to głównie za sprawą p. Pierre Cot, który był jednym z głównych rzeczników zbliżenia Francji do Związku Sowieckiego. W r. 1936 utworzono istotnie we Francji dwa oddziały spadochroniarzy w sile dwu batalionów, których użyto po raz pierwszy na manewrach w r. 1937. Dowódcą tych oddziałów był znakomity oficer francuski mjr. Geille. Powodzenie tej próby zachęciło dowództwo francuskie do utworzenia w r. 1938 trzech dalszych batalionów; z końcem roku 1939 Francja posiadałaby zatem pięć kompletnie wyposażonych i wyćwiczonych batalionów spadochronowych.

Jednak rozpętana w r. 1938 gwałtowna, napastliwa kampania prasowa w profaszystowskich pismach francuskich zniszczyła w zarodku te poczynania. W momencie, gdy Niemcy prowadzili w przyśpieszonym tempie szkolenie spadochronowe, francuski Sztab Generalny odsyłał swych spadochroniarzy, nie wyłączając majora Geille, do jednostek macierzystych. Jeden z wybitnych oficerów sił powietrznych, wtórując innym, skierowywał swych żołnierzy . . . do cyrku. Ostatecznie do rozgrywki z Niemcami stanęli Francuzi bez oddziałów spadochronowych.

Brak danych nie pozwala na przedstawienie historii i obecnego stanu spadochroniarstwa japońskiego; jednak rozległe działania, o których czytamy w codziennych komunikatach wojennych, pozwalają na stwierdzenie, że Japończycy skorzystali w pełni z cudzych doświadczeń i że docenili należycie rolę i możliwości tych oddziałów.

W ogólnym obrazie rozwoju spadochroniarstwa nie należałoby oczywiście pominąć Polski, która może się poszczycić w tej dziedzinie stosunkowo pokaźnym dorobkiem. Już w roku 1936 zorganizowano kursy instruktorskie w Legionowie pod Warszawą, a w rok poźniej w tej samej miejscowości wykonano pierwszy większy desant. Wyszkolenie spadochronowe zostało wprowadzone do szkół oficerskich i częściowo podoficerskich. Młodzież przedpoborowa garnęła się również masowo do spadochroniarstwa.

Z powodzeniem próbowano stosować własne, zupełnie oryginalne pomysły lądowania z bronią maszynową, materiałem wybuchowym, aparatami radio, gołębiami itp. W zasobnikach o ciekawej budowie zrzucano ckm i miotacze płomieni; działka ppanc. "lądowały" na 2—3 spadochronach (poszczególne części oddzielnie).

Pozytywne wyniki szkolenia spadochronowego znalazły potwierdzenie na manewrach. Planowe szkolenie spadochronowe kandydatów, pochodzących z innych rodzajów broni, przeprowadzał Wojskowy Ośrodek w Bydgoszczy.

Wojna obecna i jej potrzeby narzuciły walczącym demokracjom nakaz tworzenia wielkich oddziałów spadochronowych, przeznaczanych głównie do walki ofensywnej. Nie wdając się w ocenę przeszłości i stanu obecnego spadochroniarstwa u naszych brytyjskich gospodarzy, przyjrzyjmy się jeszcze stanowi rzeczy u naszego wielkiego alianta—Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze w maju roku 1940 U. S. A. nie posiadały zupełnie wojskowych oddziałów spadochronowych. Jednak w społeczeństwie pokutowała świadomość ich użyteczności (Służba Leśna używała spadochronów do walki z ogniem w lasach). Wypadki w Holandii i Belgii wywarły w sferach wojskowych Ameryki duże wrażenie i w następstwie zorganizowano doświadczalny oddział spadochroniarzy, złożony z 2 oficerów i 48 szeregowych.

Z tego skromnego zawiązku zrodziły się w przeciągu jednego roku cztery bataliony po 400 skoczków w każdym. Założona szkoła pracuje niestrudzenie i może w ciągu jednego miesiąca wypuścić cały batalion ludzi, którzy odbyli szkolenie wstępne wraz ze skokami. Dowódcą oddziałów spadochronowych jest pułkownik William Lee, który, aczkolwiek już niemłody, stara się dotrzymać pola wszystkim innym skoczkom. Ochotniczy zaciąg pozwala na dobór odpowiednich oficerów i żołnierzy. Doskonała kondycja fizyczna idzie u nich w parze z wysokim morał, toteż stanowią oni niejako klasę dla siebie.

Z każdym dniem przybywają nowe doświadczenia i ulepszenia techniczne. Jeżeli jakakolwiek próba wymaga ryzyka śmierci, dokonywa jej oficer. Oficerowie pierwsi skakali do wody, pierwsi włączyli do swego ekwipunku maskę gazową i ciężki aparat fotograficzny. Są oni pionierami, dającymi przykład innym. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby któryś z oficerów odmówił skoku.

Ćwiczenia bojowe są opracowywane z wielką starannością i dużym nakładem pracy. Dowódcy wszystkich szczebli studiują teren najpierw z powietrza, a następnie z mapy plastycznej. Umiejscowienie celu ataku i miejsca lądowania, zbiórka żołnierzy na wyznaczonym odcinku, zaopatrzenie w materiał i broń,—oto niektóre zagadnienia, wypełniające pracowity dzień spadochroniarza amerykańskiego.

Na podstawie zebranych doświadczeń amerykańscy fachowcy twierdzą, że spadochroniarze mogą zniszczyć stojące na lotnisku samoloty w 1/10 tego czasu, którego potrzebowałaby piechota, i że w ciągu 30 minut 12 spadochroniarzy jest w stanie zniszczyć system wodny miasta o 50.000 mieszkańców. Cyfry i studia przekonały Amerykanów całkowicie do wojsk spadochronowych.

Nie przesądzając roli spadochroniarzy w przyszłych wojnach, wolno przypuścić, że w najbliższych działaniach udział ich będzie nadal poważny. Nadają się oni szczególnie do działań na terenie nieprzyjacielskim, co pozwala wyrobić sobie pogląd na sposób ich użycia przez Aliantów.

ZDZISŁAW PORĘBSKI

Zwarte szeregi żołnierzy spadochronowych ustawiły się frontem przed Naczelnym Wodzem. Oficerowie, podoficerowie i strzelcy,—młodzi chłopcy i osoby starsze. Stanęli, aby z Jego rąk otrzymać odznakę wyszkolenia spadochronowego — "Orzeł, spadający do walki".

"Wojsko Polskie widzi swój powrót w walce, poświęceniu i chwale". "Chcemy, by orły naszych sztandarów zwycięsko spadły na wroga, zanim spoczną na wyswobodzonej ziemi".



Tak brzmiał rozkaz Naczelnego Wodza, ustanawiający znak spadochronowy.

"Z radością wręczę Wam te odznaki, na któreście dobrze zasłużyli . . . wyróżniać one będą Was spośród innych żołnierzy, jako tych, którzy w każdym stopniu i na każdym stanowisku jednakowo narażają swe życie dla Ojczyzny".

Tak mówił Naczelny Wódz, wręczając osobiście znaki żołnierzom spadochronowym.

Słowa jego zamknęły pierwszy okres pracy, która raz rozpoczęta rwie na przód, jak wartki strumień.

Jutro płynąć będzie rzeką.

Potrzeba bowiem wielu takich, którzy "gdy przyjdzie chwila, spadną na wroga i przyczynią się pierwsi do wyzwolenia naszej Ojczyzny".



"Najkrótszą drogą": Z nieba na ziemię

WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO

WSPOMNIENIA BYDGOSKIE

PROSZĘ panów, — rozkazem M. S. Wojsk. Nr . . . z dnia . . . zostaje otwarty I Kurs sześciotygodniowy w Wojskowym Ośrodku Spadochronowym w Bydgoszczy. Warunki wstąpienia: odwaga osobista oraz dodatnie wyniki badań lekarskich. . . Na kursie przysługują diety oraz wypłata za skoki doświadczalne w kwocie 20 zł i 10 zł za skoki ćwiczebne. . . Kto z panów się zgłasza? . . .

— Ja . . . (licho wie, dlaczego?)

Taka odprawa oficerska odbyła się na wiosnę roku 1939 w Modlinie w jednym z baonów saperskich.

Za kilka dni byliśmy w drodze.

Ośrodek w Bydgoszczy mieścił się na lotnisku Samodzielnego Dywizjonu lotnictwa towarzyszącego. Jako laików tubylcy oprowadzali nas po swoich śmieciach. Z dumą pokazywali "własny" hangar ośrodka oraz trzy olbrzymie pudła—Fokkery F VII ze śmiesznie małymi silnikami. Chwalili się poza tym jednym własnym P. W. S.-em i drugim garbatym Erwudziakiem. U drugiego końca baraku "urzędowali" referenci broni; tutaj znajdowała się również sala wykładowa, obwieszona zdjęciami skoków spadochronowych.

Pierwsze dwa tygodnie zajęło szkolenie naziemne. Przerabiamy "trapez", składanie spadochronów, wieżę spadochronową. Zapoznajemy się z pierwszymi polskimi pistoletami maszynowymi "Mors." Przechodzimy ćwiczenia z miną ppłk. sap. St. Dokonywamy prób ze zrzucaniem materiałów wybuchowych, osiągając nader pomyślne wyniki: tornister z trotylem i dunitem, zrzucony z wysokości 300 m. nie zdetonował. Mamy również dwa loty "oswajające" Bydgoszcz—Inowrocław—Toruń—Bydgoszcz.

W trzecim tygodniu przypadają pierwsze skoki. Z rana meldujemy się na lotnisku. Nakładamy polskie kombinezony lotnicze z grubego brezentu. Każą nam na lince przywiązać noże składane "na wszelki wypadek". Służyły one do ucięcia linek spadochronu, gdyby zaczepił się o samolot; spadochroniarz mógł jeszcze użyć spadochronu piersiowego czyli zapasowego.

Spod oka oglądam moją grupę. Wszystko kaprale— saperzy, chłopy jak dęby. Panuje spokój; niekiedy słychać żarty. Instruktor cywilny, wysoki, kościsty blondyn, sprawdza zapięcia.

— Do samolotów—marsz! . . .

Oddział rusza chwiejąc się niezgrabnie. Wygląda jak sznur garbatych nurków.

Gotowi — starrrt. Samolot, śmieszne pudło o ścianach z jakiejś grubej materii, przepojonej olejną farbą, trzęsie się i podskakuje. Odbija się jeszcze dwa razy i zaczyna lekko kołysać.

Stajemy w ogonku przed drzwiami samolotu. Skok ma być pojedyńczy na rozkaz, a raczej dotknięcie instruktora. Widzę, jak drzwi się otwierają. Kościsty blondyn lekko dotknął mego ramienia. Stoję na przedzie i mam skakać pierwszy.

Wychyliłem głowę i . . . zobaczyłem w dole pociąg, jak czarną gąsienicę. Coś z boku potężnie dmuchnęło; przez chwilę widziałem kolejno raz niebo, raz ziemię. Coś strzeliło z hukiem; poczułem szarpnięcie—i . . . nareszcie spokojnie wiszę, a raczej siedzę. Pode mną las, ale to bajka,—grunt, że mam pod sobą coś stałego.

Po południu wykład.

— Proszę panów, desanty dzielą się na duże i małe, t. j. saperskie dywersyjne i bojowe . . . .

Odbyłem dwa dalsze skoki, stałem się doświadczonym skoczkiem. Wówczas zaczęło się.

— Panie poruczniku. Poleci pan Fokkerem Nr I. Miejsce lądowania—polana leśna koło m. Grzeczna Panna pod Nakłem. Po wylądowaniu—marsz na kierunek przez lasy do łuku toru kolejowego. O godz. 24.00 przechodzi tamtędy pociąg. Zadanie: wysadzić pociąg w ruchu. Wykonanie meldować gołębiem. Skład patrolu: pan + 8. Po wykonaniu zadania marsz na polanę X, gdzie o godz. 4.00 wyłożyć płachty rozpoznawcze. Powrót samolotem. Start—godz. 19.00. Otrzymuje pan szkic i busolę. Za godzinę pobierze pan materiał minerski. Czołem!

Ubieramy się. Na ubranie ćwiczebne wkładamy pas parciany z ładownicami na kostki trotylu. Z tyłu na pasie—toporek, założony trzonkiem do góry. Pod brodą na guziku w klocku drewnianym wielkości pudełka zapałek—spłonki detonujące. Mój łącznościowiec mocuje się z dwoma gołębiami, które ani rusz nie chcą wleźć do skórzanego pokrowca.

— Gotowi.

Maszerujemy na lotnisko. Fokkery stoją posłusznie w niemym oczekiwaniu. Startujemy: Dla pewności sprawdzam zapięcia szelek. Na dole jakieś rzeczki, kępki drzew, czasami tafla jeziora. Dolatujemy do większego lasu. Psiakrew, nie mam mapy "setki."

—Przygotować się—woła obserwator.

— Skok! . . .

Lecimy na łeb na szyję. Rymnąłem koło jakiegoś mendla zboża, wbijając się po kostki w miękki grunt. Wstaję, zbieram swą grupę, staram się zorientować w położeniu według mapy i szkicu. Gdzie tam! Zamiast lasu z czterech stron mam las z trzech stron, obok zaś widać drogę i jakieś chałupy. Mimo mroku wybiegają ludzie, przede wszystkim dzieci; pędzą w naszym kierunku, sadząc susami przez bruzdy.

Nie ma czasu do stracenia. . . Jest rzeczą widoczną, że obserwator się pomylił. Wyrywamy na "kierunek." Brniemy przez młody zagajnik, gęsty i mokry. Gałęzie świerkowe chlaszczą nas boleśnie po twarzy. Trzy godziny rwaliśmy na przód.

Posuwamy się teraz wzdłuż szosy. Nareszcie jej zakręty i łuki zgadzają się ze szkicem.

O godzinie 1.00 jesteśmy u celu. Pociąg dawno przeszedł, ale odpalić nie zaszkodzi. Pozorujemy uszkodzenie zewnętrznego toru na łuku. Rozlega się huk od wybuchu kostki trotylu. Gołąb, wypuszczony z torby, siada na gałęzi i ani myśli o służbie. Trzeba go spłoszyć kamieniem i gwizdem.

Zimno. Przemoczone do nitki ubranie ciąży jak ołów. Patrol idzie za mną gęsiego. Milczą. . . Przecinamy drogę polną. W świetle latarki elektrycznej rzucam okiem na szkic. Wchodzimy w mały zagajnik. Na przeciwległym skraju rozległe rżysko, do połowy zżęte i zwiezione. To tu. Godzina trzecia—zaczyna świtać.

— Przygotować płachty rozpoznawcze.

Zdaleka coś jak gdyby bzyknęło. Dźwięki się powtórzyły i zlały w jeden brzękliwy ton, gwałtownie rosnący. Jest pilot. Wali wprost na nas lotem nurkowym. Poznaje nas, bo za chwilę energicznie podrywa maszynę. Dobry lotnik. Idziemy na miejsce zbiórki i ładujemy się na samolot.

Mieliśmy jeszcze dwa podobne ćwiczenia oraz jeden wypad zespołowy desantu w składzie 40 skoczków pod Tłuszczem. Desant ten przekonał w pełni nasze władze o skuteczności tego rodzaju akcji. Dowódca kompanii kolejowej saperów złapał się za głowę na widok dokonanych zniszczeń: zamiast mostu—kupa gruzów; tor poszczerbiony i porwany na odcinku jednego kilometra; linia telefoniczna zlikwidowana zupełnie.

Nieocenioną pomocą byli dla nas instruktorzy cywilni, owi krnąbrni chłopcy, którzy uciekli z domu, aby za wszelką cenę znaleźć się przy samolotach. Oni to rozbudowali rozległą działalność L. O. P. P., oni posunęli na przód technikę skoku spadochronowego.

—Cieszę się, że moje śmigło już gotowe,—mówi jeden z nich, młody człowiek o zaciętym wyrazie twarzy.

— Czemu?

— No, przecie nie mogą postawić na moim grobie zwykłego krzyża.

— Hm . . .

Ja, świeżo upieczony podporucznik, patrzę na niego z podziwem. Imponuje mi. Taki gotów jest na wszystko.

EUGENIUSZ JUREWICZ

VOTUM

Dnia 4 stycznia r. b. w kościele Polskim w Londynie delegacja 1 Brygady Spadochronowej w osobie jej dowódcy, oficerów i podoficerów złożyła swe votum.

Posiada ono kształt tarczy; w lewym polu znajduje się sylwetka spadochroniarza, w prawym—odznaka Brygady Spadochronowej, t. j. orzeł, otoczony ostem szkockim, i bagnet w kształcie cyfry "4." Na górze —szyszak wraz z odznaką spadochronową /pikujący orzeł/.

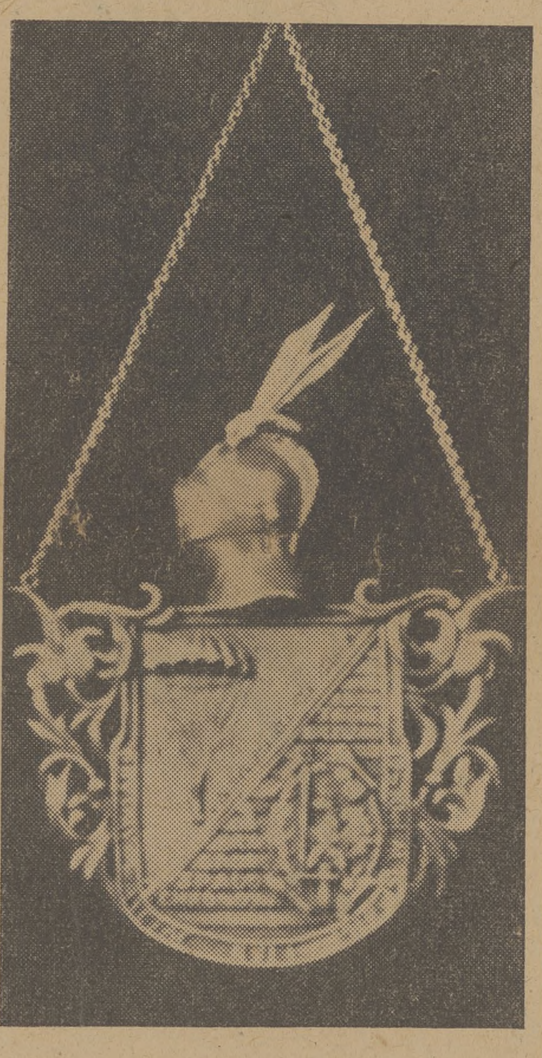
Na prawym polu tarczy widnieje napis: "4. I. 1942— TOBIE OJCZYZNO—1 BRYGADA SPADOCHRONOWA"; naokoło obydwu pól słowa: "OBYŚMY WALCZĄC BYLI PIERWSI W POLSCE."

Delegacja wystąpiła w strojach spadochronowych.

* * *

POLSCY żołnierze, przygotowujący się duszą i ciałem do najbardziej ryzykownych przedsięwzięć bojowych, w obecności Przedstawiciela Majestatu Rzeczypospolitej i najwyższych dostojników zasyłali przed Tron Najwyższego gorącą prośbę o to, by dane im było w walce przybyć przed innymi do Polski. Dla upamiętnienia jej po wsze czasy wyryli ją na złożonym votum . . .

"GDY PRZYJDZIE CHWILA, JAK ORŁY ZWYCIĘSKIE SPADNIECIE NA WROGA I PRZYCZYNICIE SIĘ PIERWSI DO WYZWOLENIA OJCZYZNY NASZEJ . . ."—tak powiedział Naczelny Wódz do żołnierzy 1 Brygady Spadochronowej, gdy swego czasu w obliczu wojska polskiego i brytyjskiego utwierdzał jej istnienie.



"TEJ WŁAŚNIE JEDNOSTCE POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH PRZYPADNĄ W UDZIALE SZCZĘŚCIE I HONOR ŻOŁNIERSKI WALCZYĆ JAKO PIERWSI O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI NA JEJ ZIEMI OJCZYSTEJ . . ."—tak powiedział Pan Prezydent Rzeczypospolitej, gdy po złożeniu votum spadochronowego przekazywał brygadzie swoje życzenia i pozdrowienia.

Żołnierze polscy śpiewali kolędy . . . W kościele londyńskim rozbrzmiewały słowa: BÓG SIĘ RODZI—MOC TRUCHLEJE— PAN NIEBIOSÓW OBNAŻONY . . .—kolenda Objawionej Prawdy i wspaniałych dysproporcji.

Jakże bardzo odpowiadały one naszej obecnej polskiej rzeczywistości . . .

Z odmętów klęski naszej rodzi się i narasta NOWE ŻYCIE POLSKIE.

W walce i twardych warunkach życia hartują się ci, którym dane będzie nieść ciężar nie dostojeństw, ale nowych obowiązków, zarówno w walce, jak i później, gdy "miecz zmienim na lemiesz."

Odpadają po drodze ludzie słabi, —zniknąć muszą rzeczy błahe, prywata, egoizm, wygoda.

Do szeregu ci, którzy pragną z siebie coś dać ogółowi,—nie zaś brać od niego dla siebie!

CZY ROZUMIECIE SERCA TYCH, KTÓRZY SKŁADALI VOTUM?

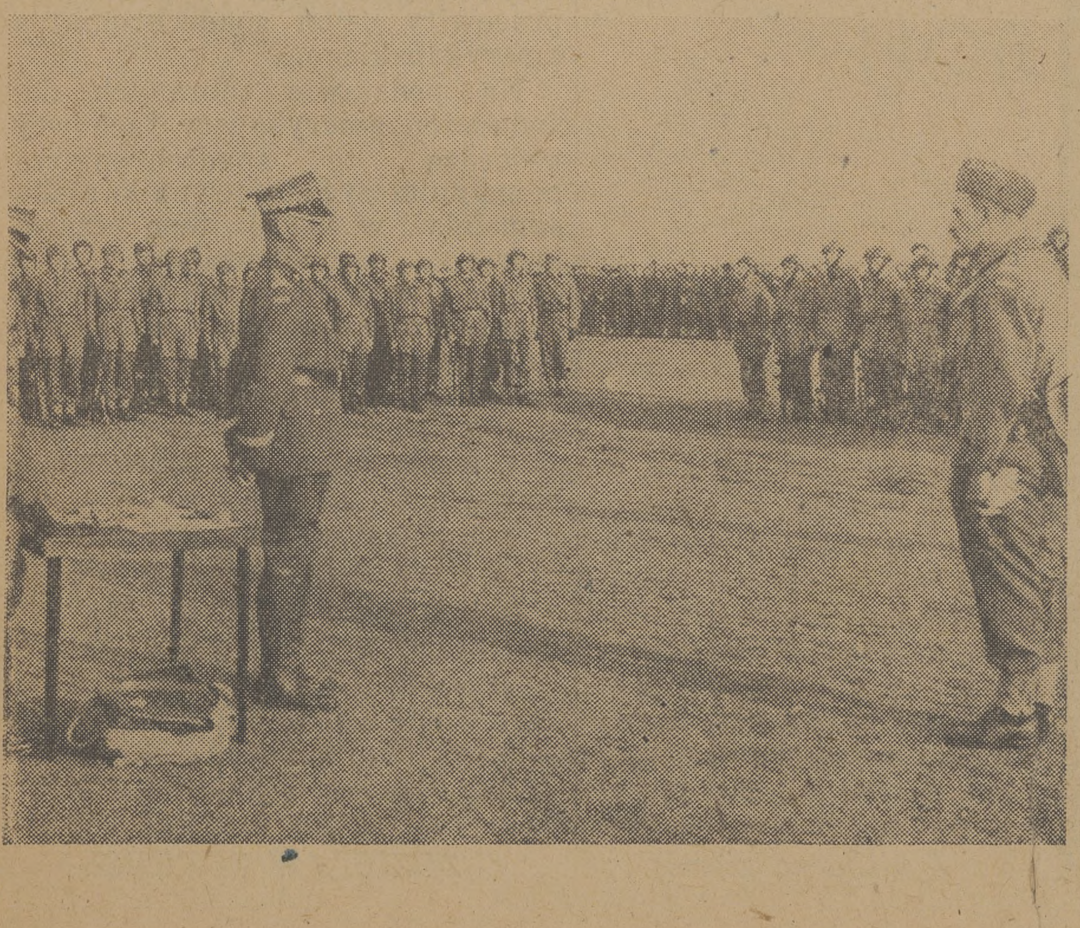
Wierzą oni, że mają świadczyć na rzecz Ojczyzny, a proszą tylko pokornie Boga o to, by byli PIERWSZYMI W POLSCE.

Nie za darmo,—nie bez żołnierskiego wysiłku . . .

OTO ISTOTNE ZNACZENIE ZŁOŻONEGO VOTUM.

STANISŁAW WĘGLARZ

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ" POCZUWA SIĘ DO SERDECZNEGO I MIŁEGO OBOWIĄZKU PODZIĘKOWANIA ŻOŁNIERZOM BRYGADY SPADOCHRONOWEJ ZA POMOC W WYDANIU TEGO NUMERU, POŚWIĘCONEGO ICH ŻYCIU, PRACY I, DA BÓG, RYCHŁEJ I ZWYCIĘSKIEJ WALCE.



Na lewo:
Naczelny Wódz przed frontem oddziału spadochroniarzy po odbytych ćwiczeniach bojowych.



Na prawo:
Chwila wręczenia odznaki spadochronowej.

ROZMOWA
Z
DOWÓDCĄ BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

GODZINA 19. Śpieszę ciemnymi uliczkami do dowództwa po przyrzeczony wywiad. Zapytuję wartownika, czy pułkownik jest już u siebie. Okazuje się, że właściwie przez cały prawie dzień nie wychodził, pracując bez przerwy z dwiema króciutkimi pauzami na posiłki. Dowiaduję się, że jeszcze nie skończył swych codziennych zajęć. Przed chwilą wyprawił gońca z pilnymi listami, a obecnie przeprowadza konferencję z szefem sztabu.

Czekam cierpliwie, obawiając się nieco, że właściwie przychodzę za późno. Nie. Służbowy zawiadamia mię, że mogę już wejść.

Rozglądam się po skromnie umeblowanym pokoju, oświetlonym niezbyt suto lampą gazową. Na stole leży spora teka i rozłożone mapy; czyżby to była dalsza porcja pracy na wieczór? Pułkownik kończy właśnie rozmowę z szefem sztabu. Wita się uprzejmie. Ciemne jego oczy spoglądają bystro i przenikliwie spod czarnych brwi, nieodpartej pokusy dla rysownika. Mogę wreszcie zadawać pytania.

— Czy nie zechciałby Pan Pułkownik powiedzieć kilku słów o powstaniu brygady spadochronowej?

— Widzi pan, na sprawy ludzkie składają się z reguły czynniki moralne i materialne. Pierwsze uważam za ważniejsze i dlatego o nich chciałbym przede wszystkim mówić. Wszyscy pragniemy wrócić do kraju nie jako emigracja, lecz jako walczący żołnierze. Kiedy tam wszystko zacznie łamać się i trzeszczeć, musimy znaleźć się na miejscu, aby ramię przy ramieniu bić się z tymi, którzy pozostali w ojczyźnie i którzy czekają na naszą pomoc. Doszliśmy do wniosku, że spadochroniarstwo, nowy rodzaj wojska, którego waga wzrasta z dnia na dzień, pozwoli najszybciej przybyć w decydującym momencie tam, gdzie będziemy najbardziej potrzebni. . . .

W miarę postępu działań spadochronowych u naszych przeciwników myśli te przechodziły w fazę realizacji. Pamięta Pan, jak w pierwszych dniach naszego pobytu w Wielkiej Brytanii zajmowano się żywo sprawą przeciwakcji wojsk lądowych wobec spadochroniarzy. Był to okres prób inwazji powietrznej na Wielką Brytanię. Jeśli na takie poczynania stać było wrogów, dlaczego mielibyśmy być gorsi? Refleksja ta przeniknęła w sposób naturalny do ogółu żołnierzy, którymi wówczas dowodziłem. Tak wytworzyło się podłoże duchowe dla konkretnych prac realizacyjnych.

Oczywiście działaliśmy w myśl wyraźnych dyrektyw i rozkazów Naczelnego Wodza i jego sztabu, spotykając się nieustannie z gorącym rzecznictwem, poparciem i pomocą. W tych warunkach wykonanie techniczne było sprawą prostą. Zna pan określenie żołnierskie: "we własnym zakresie?" Jeżeli pojawiają się trudności materialne, działa ono w sposób niezawodny. Wie pan również, co znaczy polska pomysłowość. Ona to w połączeniu z życzliwą współpracą Brytyjczyków pozwoliła na rozbudowanie— przy użyciu własnych środków— niezbędnych urządzeń oraz aparatury technicznej dla szkolenia wstępnego.

Najpierw trzeba było mieć odpowiednią liczbę spadochroniarzy przeszkolonych, dopiero później można było przystąpić do tworzenia jednostki spadochronowej. Przeszliśmy pomyślnie przez obie fazy. Zdaliśmy egzamin z naszej sprawności spadochronowej przed Naczelnym Wodzem, który na tej podstawie uczynił z nas brygadę spadochronową.

— Jakie widoki ma przed sobą zdaniem Pana Pułkownika broń spadochronowa?

— O sprawie tej można by mówić wiele; wydała ona już dotychczas obfitą literaturę, nie mówiąc o doświadczeniach, których dostarcza nieustannie wojna. Dlatego odpowiem Panu krótko: przed bronią spadochronową stoją otworem możliwości wręcz nieograniczone. Może ona zmienić oblicze wojny, przekształcając działania linearne na powierzchniowe. Należy się liczyć z tym, że umożliwi ona rozwiązanie wielu zagadnień wojennych na wszystkich szczeblach, od akcji lokalnych do operacji na wielką skalę.



Ćwiczebny skok spadochronowy

Jak każda nowość, wojska spadochronowe są traktowane z pewną dozą nieufności, głównie wskutek braku dostatecznej liczby doświadczeń. Toteż decyzje wymagać będą śmiałości i wyobraźni. Za ilustrację przykładową posłużyć mogą koleje broni pancernej, która po fazie prób znalazła masowe zastosowanie na polach bitew w samodzielnych jednostkach.

Dla nas, Polaków, w związku z sytuacją w kraju wojska spadochronowe muszą mieć z natury rzeczy szczególne znaczenie. Okoliczność tę winniśmy sobie wszyscy uświadomić.

— Jak Pan Pułkownik ocenia przydatność naszych żołnierzy do służby spadochronowej?

— Chciałbym, żebym nie został posądzony o zarozumiałość narodową. Dlatego wolałbym, aby pan zapytał naszych sprzymierzeńców Brytyjczyków, co sądzą o polskich spadochroniarzach i do jakiej klasy ich zaliczają. Mamy opinię tak dobrą, że to nas czasem krępuje: rozumie pan, że dobra opinia obowiązuje.

Zapyta pan, jak się ona wytworzyła. Odpowiem panu pytaniami: dlaczego polskie wojska lądowe mają sławę świetnych żołnierzy? dlaczego nasi lotnicy są głośni na całym świecie? dlaczego my, naród szczurów lądowych, zdobyliśmy uznanie jako marynarze u narodu wilków morskich? Zalety bojowe Polaków są wynikiem naszego temperamentu narodowego, kształtowanego w ciągu wieków. Na pomoc przychodzi oczywiście szkolenie spadochronowe, którego swoiste metody są naszym własnym polskim dorobkiem. Niektóre nasze urządzenia zostały już przejęte przez wojska brytyjskie.

—Jak jest właściwie, Panie Pułkowniku, z tym przeszkoleniem spadochronowym? czy jest ono obowiązkowe, czy ochotnicze?

— Jedno i drugie. Obowiązek służby żołnierskiej jest u nas powszechny, i to zarówno w czasie pokoju, jak i przede wszystkim podczas wojny. Władza wojskowa określa, do jakiego rodzaju służby żołnierz winien być użyty. Rozumie pan, że spadochroniarze stanowią rodzaj wojska, na którym ciążą specjalnie ciężkie obowiązki. Do wypełniania ich potrzebne są specjalne wartości fizyczne i psychiczne oraz szereg umiejętności. Dlatego kandydaci muszą być dobierani bardzo starannie. Wojsko spadochronowe ma poza tym przywilej zaciągu ochotniczego. Daje on szansę skupiania ludzi o właściwym nastawieniu duchowym, które ma tu oczywiście wyjątkowe znaczenie.

— Wiem, że w Polsce interesowały Pana Pułkownika specjalnie sprawy wychowania wojskowego, którymi zajmował się Pan jako dowódca i autor. Jakie spostrzeżenia i uwagi na ten temat nasunęła Panu służba spadochronowa?

— Spadochroniarstwo jest nie tylko nowym rodzajem wojska, lecz zarazem potężną szkołą charakterów, i to zarówno z punktu widzenia żołnierza, jak i człowieka w ogóle. Wychowuje ono człowieka silnego pod względem moralnym i fizycznym, umiejącego panować nad sobą i otoczeniem, i to w sytuacjach trudnych, w chwilach kryzysów.

Silna wola jest dla spadochroniarza niezbędna. Musi on być odważny, zdecydowany na wszystko, zdolny do każdej akcji bojowej, nie tylko w grupie, lecz i w odosobnieniu. Musi kochać ryzyko, a zarazem zachować ostrożność i chłód w ocenie sytuacji. Winien narzucać bezwzględny posłuch, gdy jest dowódcą, i być wzorowym, zdyscyplinowanym wykonawcą, gdy taka rola przypada mu w udziale. W najgorszym nawet położeniu nie może uchybić obowiązkom serdecznego koleżeństwa. W wykonywaniu rozkazów cechuje go bezwzględna sumienność i dokładność, często bowiem wypadnie mu działać bez kontroli, wyłącznie o własnych siłach. Ma on szansę pełnego wyładowania swej energii, musi ono jednak biec we właściwym kierunku; spadochroniarza nie stać po prostu na zbyteczne luzy. Nie śmie ulegać nałogom, które by mogły osłabić jego wolę i zmniejszyć odporność fizyczną.

— Jak jest z wyszkoleniem fizycznym ?

—Żołnierz spadochronowy musi wykazywać pełnię zdrowia. W szczególności serce i nogi winny być bez zarzutu. Zalety te gwarantują nie tylko wykonanie skoku bez wypadku, lecz również większy wysiłek bojowy po wylądowaniu. Ćwiczenia fizyczne są prowadzone w oddziałach spadochronowych bardzo intensywnie. Poza ćwiczeniami ogólno kształtującymi stosuje się takie, które wyrabiają odwagę i zawziętość jak boks, walka wręcz, narciarstwo i t.p. Doświadczenie wykazało, że do wojsk spadochronowych nadają się również jednostki stosunkowo starsze o ile tylko czynia zadość warunkom fizycznym. Od tej kategorii żołnierza wymaga się tylko stałego i staranniejszego treningu celem utrzymania się w kondycji fizycznej.

—Czy wolno zapytać, jakie stosunki łączą brygadę Pana Pułkownika ze spadochroniarzami wojsk sprzymierzonych?

—Jak najlepsze. Między spadochroniarzami polskimi i brytyjskimi istnieje rzeczywista i serdeczna wzajemna współpraca. Przejawia się ona nie tylko w stałych stosunkach osobistych, lecz i w wymianie doświadczeń i obserwacji. Rozumie pan, że spadochroniarstwo jako broń nowa jest przedmiotem ciągłej pracy doświadczalnej; na jej podstawie dochodzi się do pewnych wniosków, które należy wszechstronnie omówić, a potem sprawdzić praktycznie.

Nader pomocne są nam również te elementy lotnictwa J. K. M., które współuczestniczą w sprawach spadochronowych. Jest mi szczególnie miło stwierdzić, że współpraca jest harmonijna i bardzo owocna. Poza tym mam tę satysfakcję, że doświadczeniami naszymi możemy się dzielić z tymi spośród sprzymierzonych, którzy nie byli jeszcze w możności stworzyć własnych ośrodków szkolenia spadochronowego. Miło nam było zwłaszcza gościć u siebie naszych braci Czechosłowaków i żołnierzy armii Wolnych Francuzów.

Pułkownik spogląda nieznacznie na zegarek. Wiem, że jest już bardzo późno i że najwyższy czas kończyć zajmującą rozmowę. Tyle pytań zostało niedopowiedzianych, i to bodaj tych najważniejszych. Może jednak nie pora na ich stawianie? Wiele odpowiedzi da niedaleka przyszłość.

Dziękuję serdecznie za przyjęcie i wychodzę. W drzwiach widzę, jak pułkownik zabiera się już do poczty, która musi być dziś jeszcze przejrzana.

Na dole wartownik już się zmienił. Nikt nie zluzuje dowódcy.

STEFAN ŁUCZYKOWSKI

STEFAN KĄTSKI:

Naczelny Wódz na ćwiczeniach spadochronowych w dniu 23 września 1941 roku

/Obraz olejny ofiarowany przez Brygadę Spadochronową Muzeum Wojska Polskiego/



UŻYCIE ODDZIAŁÓW SPADOCHRONOWYCH

KARIERA wojsk spadochronowych bije swą szybkością wszystkie rekordy. Przed rokiem 1940 praktyczne ich użycie znajdowało się w fazie doświadczeń wstępnych i teoretycznych projektów. Obecnie przewiduje się już możliwość zastosowania w każdej niemal konkretnej sytuacji. Wyszliśmy daleko poza okres próbny i liczymy się z oddziałami powietrznymi, jako potężnym narzędziem walki, które przy odpowiednim zastosowaniu może być w skutkach wręcz straszliwe.

Od pierwszego pojawienia się na terenie walk spadochroniarstwo dokonało zupełnego przewrotu w zakresie tradycyjnych teorii obronności. Nadaje się ono bowiem w szczególny sposób do atakowania ośrodków, niedostępnych dla innych rodzajów wojska. Spadochroniarz przedostaje się poza najsilniejsze linie obronne, co oczywiście osłabia w sposób zdecydowany ich znaczenie. Spadochron pozwolił na przeniknięcie bez większego oporu przy stosunkowo nieznacznych stratach poprzez linie fortyfikacji belgijskich i holenderskich, powodując ich szybkie opanowanie. Stanowi on nieustanną groźbę dla lotnisk, co potwierdziła w pełni rozgrywająca się obecnie kampania japońska. Wojska powietrzne są również w stanie pokonywać ten naturalny czynnik obronny, jakim jest przestrzeń. Wyspy, oddzielone od baz nieprzyjacielskich o setki kilometrów, nie są dziś bynajmniej zabezpieczone przed bezpośrednią inwazją, choćby strzegły ich silne umocnienia nadbrzeżne.

Jest rzeczą znaną, że w desantach spadochronowych odgrywa doniosłą rolę lotnictwo, nie jest ono jednak w stanie uchwycić i opanować terenu. Nawet piechota, przewożona za pomocą samolotów i szybowców, musi mieć przedtem grunt odpowiednio przygotowany. Skuteczność akcji spadochroniarzy i ich niezastąpiona wartość bojowa opiera się na tym, że docierają oni wszędzie w sposób nagły, że nie potrzebują dla lądowania żadnych urządzeń pomocniczych. Daje im to oczywiście szanse efektu zaskoczenia, jednego z najdonioślejszych czynników sukcesu.

Pewne trudności techniczne stwarza nadal zrzucanie większych oddziałów, zdolnych do podjęcia samodzielnej akcji na dużą skalę. Jednak nawet stosunkowo niewielkie desanty mogą w pewnych okolicznościach okazać się bardzo skuteczne. Wiele zależy od tajemnicy i od właściwego wyboru obiektu. Niemieckie natarcie na Holandię wymagało niewątpliwie żmudnych, długotrwałych wysiłków, zgromadzenia znacznej ilości maszyn i materiału. Mimo to jednak do ostatniej chwili umiano unikać czujności aliantów, wskutek czego ofensywa powietrzna miała charakter zupełnej niespodzianki.

Poważną rolę odgrywa również przygotowanie spadochroniarzy do wyznaczonych im konkretnych zadań. Muszą oni zwykle działać niezmiernie szybko, toteż każda ich czynność, każdy niemal ruch muszą być z góry dokładnie przewidziane i opracowane. Niemcy przywiązywali zwłaszcza wagę do skrupulatnego, wręcz pedantycznego zapoznania się z miejscowością, wyznaczoną jako obiekt wypadu, oraz panującymi w niej warunkami.

Na równi z samodzielnymi zadaniami bojowymi wojska spadochronowe są powoływane do współdziałania z innymi rodzajami broni w normalnych walkach frontowych. Mogą one być przerzucane na zagrożone odcinki, mogą się przedostawać na tyły nieprzyjaciela, mogą atakować z odległości, nieosiągalnej dla innych, silne punkty oporu i t. p. Brak jeszcze dokładnych sprawozdań z walk na froncie rosyjskim, jednak z uzyskanych informacji wynika, że spadochroniarze używani byli przez obie strony w różnorodnych sytuacjach bojowych. Zakres możliwości jest tu wręcz nieograniczony, toteż dalsze wypadki wojenne przyniosą niewątpliwie wiele nowych doświadczeń.

Inny rodzaj zadań wiąże się z działaniami niszczycielskimi w strefie, pozostającej w rękach nieprzyjaciela. Oddział, zrzucony niepostrzeżenie w ważnym ośrodku przemysłowym czy w pobliżu ruchliwego węzła komunikacyjnego, może przy użyciu odpowiednich materiałów saperskich wyrządzić szkody wprost nieobliczalne.

Aczkolwiek musi on działać pośród sił nieprzyjacielskich, nie mogąc właściwie podjąć walki, los jego nie jest bynajmniej przesądzony. Może on po wykonaniu rozkazów albo "wsiąknąć" w teren, albo też, korzystając z wytworzonego zamętu, przedostać się z powrotem w ten czy inny sposób do własnych szeregów. Klasyczny przykład tego rodzaju akcji stanowi desant angielski w początku roku 1940 w południowej części Włoch. Według oficjalnych komunikatów udało mu się wyrządzić znaczne spustoszenia i wywołać zamęt w ruchu komunikacyjnym. Część oddziału zdołała później dotrzeć do wybrzeża i przedostać się na znajdujące się w pobliżu statki brytyjskie.

Niezależnie od wykonywanych zleceń spadochroniarze wywierają zawsze potężny wpływ destrukcyjny na moral nieprzyjaciela. Fakt zagrożenia w miejscu, gdzie się tego najmniej oczekuje, sam przez się wywiera wrażenie wstrząsające. Okoliczność ta tłumaczy częste zastosowanie skoczków powietrznych dla dywersji psychicznej. Obecność wrogich żołnierzy daleko poza strefą bezpośrednich walk stwarza pozory ich wszędobylstwa, wyolbrzymiane przez szerzone sztucznie pogłoski i alarmy.

Podczas kampanii wrześniowej Niemcy lądowali w mundurach polskich lub w ubiorach cywilnych, co ułatwiało im przyłączenie się do szeregów wojskowych lub stopienie z ludnością cywilną. We Francji w odległych miasteczkach i wsiach zaczęły się pojawiać na drogach tajemnicze napisy, sygnały dla samolotów, znaki swastyki i t. p., wywołując niebywały popłoch śród mieszkańców; władze bezpieczeństwa nie umiały oczywiście poradzić sobie z nieuchwytnymi sprawcami, których liczba zdawała się nieustannie wzrastać. Do transportu używano zarówno samolotów, jak i szybowców /jak np. w pobliżu Dijon/.

Znalazłszy się na obcym terenie, spadochroniarze uzyskują oczywiście nieograniczone pole dla pracy wywiadu. Jeśli zabrali ze sobą aparat radiowy, mogą utrzymywać stałą łączność ze swymi władzami, dostarczając im wiadomości zebranych na miejscu. Gdy własne wojska przybędą na miejsce ich pobytu, mogą oni wyświadczać nieocenione usługi jako osoby, dokładnie wtajemniczone w stosunki lokalne.

Praktyka dotychczasowa każe uważać spadochroniarstwo przede wszystkim za broń natarcia, broń ofensywną. Aczkolwiek takie przeznaczenie wydaje się związane z jej właściwościami technicznymi, należy się jednak wstrzymać od zbyt pośpiesznych wniosków ogólnych. Podobne przypuszczenia wysuwano w stosunku do czołgów, które jednak znalazły również zastosowanie w obronie. Stałe udoskonalenia techniczne rozszerzają jeszcze bardziej skalę przyszłych możliwości.

Wzrastająca popularność spadochroniarstwa śród naszych szeregów tłumaczy się nie tylko widokami na stosunkowo najrychlejszy powrót do kraju. Jest w tej broni coś, co zdaje się harmonizować w szczególny sposób z naszym temperamentem narodowym—coś z nieokiełznanej fantazji dawnego rycerstwa. Nie darmo husarze przypinali sobie skrzydła, sprzymierzając się jakby w ten sposób z żywiołem powietrznym. Spadochroniarze, podobnie jak dawni zagończycy, zyskują nieustannie okazje do przejawienia samodzielności indywidualnej inicjatywy i ducha ofensywnego, mają wiele sposobności dla użycia "fortelu" i podstępów wojennych i okazania, że energia i pomysłowość są w stanie osiągać walne zwycięstwo nad przewagą liczebną.

Spadochroniarstwo niesie z sobą romantyczny powiew, dla którego prawdziwa natura polska nigdy nie będzie obojętna.

FELIKS JARECKI



Na lewo:
Przeprawa oddziału spadochroniarzy przez rzekę.

Na prawo:
Przed starciem z "nieprzyjacielem."



ZADANIA OBRONNE SPADOCHRONIARZY

DZIAŁANIE spadochroniarzy po wykonanym desancie powietrznym nie różni się zasadniczo od działań piechoty, i to piechoty, pozbawionej artylerii i działającej w odosobnieniu. Ale możliwość wybrania do podejmowanej akcji najczulszego miejsca w ugrupowaniu nieprzyjaciela, a zwłaszcza czynnik zaskoczenia daje stronie, używającej spadochroniarzy, dużą przewagę. Znaczenie bojowe spadochroniarzy można zilustrować za pomocą kilku przykładów, zaczerpniętych z wojny roku 1920 oraz z naszej kampanii wrześniowej.

W działaniach na Lidę /wrzesień—październik 1920/ jedna z brygad 1 Litewsko-Białoruskiej dywizji weszła łącznie z dwiema innymi jednostkami na tyły armii sowieckiej, walczącej nad Niemnem. Brygada ta przecięła jedną z najżywotniejszych arterii komunikacji rosyjskich, mianowicie szosę lidzką, na południe od Lidy, pomiędzy Lidą a Szczuczynem.

Wiadomość o pojawieniu się oddziałów polskich na tyłach pod Lidą przyczyniła się do powzięcia przez dowództwo rosyjskie decyzji przerwania walk pod Brzostowicą nad Niemnem, walk bardzo ciężkich, lecz wcale dla Rosjan niegroźnych, i planowego przesunięcia oddziałów na północ od Lidy. W wyniku tych przesunięć doszło do całodziennego boju przeważających sił wroga z zamykającą drogę odwrotu Brygadą Litewsko - Białoruską. Ostatecznie przeważające siły wroga zmuszone były zaniechać czołowego przebijania się, zeszły z kierunku szosy i wycofały się w rozsypce przez lasy i moczary w stronę Mińska.

Całe działanie miało charakter wybitnie zaczepny. Jednak w jego ramach brygada Litewsko-Białoruska działała zaczepnie tylko do czasu uchwycenia rejonu Krasnego Boru, a właściwie do czasu zetknięcia się z siłami wroga, przebijającego się ku Lidzie, po czym przeszła do obrony, i to w warunkach bardzo ciężkich, bo w odosobnieniu i przy dużej przewadze żywych sił i artylerii po stronie wroga. Jednak przez utrzymanie się na swoich stanowiskach, i to w ciągu zaledwie jednego dnia, brygada przyczyniła się do znacznego zwycięstwa, w wyniku którego mogliśmy następnie przystąpić do rokowań pokojowych.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że brygada Litewsko-Białoruska była brygadą spadochronową i znalazła się w rejonie Krasnego Boru przy pomocy desantu powietrznego, a nacierająca od Niemna 3 dywizja piechoty legionów była jednostką pancerną. Wynik takiej walki byłby na pewno dla przeciwnika bardziej katastrofalny.

Jako przykład drugi przytoczę walki w dniach 7 i 8 września 1939 r. Grupa gen. Skwarczyńskiego w składzie niepełnych 3 i 12 dyw. piech. na skutek rozkazu Naczelnego Dowództwa przesuwała się za Wisłę po osi: Skarżysko—Iłża—Solec, mając tylko bardzo luźną styczność z lekką dywizją wroga. Po nocnym marszu oddziały lewoskrzydłowej 2 dyw. piech. osiągnęły dnia 8 września rano Iłżę i stwierdziły, że dalsza droga na wschód od Iłży jest odcięta przez oddziały pancerne nieprzyjaciela.

Rozpoczął się zacięty bój, w którym zapewne przewaga sił żywych była po naszej stronie, natomiast nieprzyjaciel miał olbrzymią przewagę techniczną w postaci zarówno opancerzenia, jak i artylerii. Do tego pod wieczór Niemcy na oczach polskich oddziałów uzyskali duże wzmocnienie, bo połączyła się z nimi nowa lekka dywizja.

Bój pod Iłżą trwał przez całą noc aż do rana dnia następnego. Oddziały polskie kolejno uderzały w mur pancerny nieprzyjaciela, aby otworzyć sobie drogę do Wisły. Nie uzyskały jednak sukcesu i rozproszyły się w terenie, wróg zaś poświęcił następne dwa dni na rozbijanie i wyłapywanie drobniejszych oddziałów, przedzierających się do Wisły.

W całym działaniu uderzało to, że zajmując jedynie obronne stanowisko i poprzestając na zagrodzeniu nam drogi, nieprzyjaciel uzyskał bardzo wielki sukces, bo rozbił dwie doskonałe dywizje, których później zabrakło dla trzymania linii Wisły. Dziwne było tylko to, że w obronie znalazły się tak wybitnie zaczepne jednostki, jakimi są dywizje lekkie.

Obie sytuacje nie są przykładami działań spadochroniarzy, bo nie użyto ich ani w pierwszym, ani w drugim wypadku. Stanowią one natomiast przykłady akcji na tyłach nieprzyjaciela, do której nadają się w szczególny sposób oddziały spadochronowe. Dlatego mogą one stanowić podstawę dla wniosków.

Najpierw, skoro mowa o tego rodzaju działaniach, konieczny jest moment współdziałania. Odcinające drogę jednostki spadochronowe, pozostawione same sobie, wyczerpałyby w krótkim czasie swoje siły i zasoby w walce z przeważającymi siłami nieprzyjaciela i musiałyby mu wkrótce ulec, względnie zejść z obranej przez siebie drogi odwrotu.

Aby walka takich oddziałów miała powodzenie, działania poszczególnych broni, przeznaczonych do danej akcji, winny być dokładnie określone i zgrane. Jeśli przy tym weźmiemy pod uwagę, że sprawa wyposażenia wojsk powietrznych w artylerię i czołgi jest bliska rozwiązania, na plan pierwszy wysunie się problem współpracy z lotnictwem.

Zakres działania różnych broni zależeć będzie oczywiście od położenia, toteż trudno byłoby ustalać z góry jakieś sztywne zasady. W każdym razie wystąpienie brygady spadochronowej nie może być akcją odosobnioną. Możliwości współdziałania muszą być w pełni wyzyskane.

Przedstawione sytuacje bojowe stanowiły przykład działań obronnych jednostek, odcinających odwrót nieprzyjaciela. Historia wojen zna wiele innych działań na tyłach wroga, w których uzyskiwano powodzenie nie przez odcięcie drogi odwrotu, lecz przez grasowanie na tyłach i dezorganizowanie ośrodków dowodzenia oraz punktów zaopatrywania.

Typową akcją tego rodzaju były zagony konnej armii Budiennego na Ukrainie w roku 1920. Jednak na akcję tego rodzaju mogą się zdobyć tylko jednostki, posiadające zdolność szybkiego poruszania się z zachowaniem nieuchwytności. Te dodatnie strony dawnej kawalerii reprezentują obecnie jednostki zmotoryzowane. Na razie trudno myśleć o dużej ruchliwości większych oddziałów spadochronowych.

W podanych przykładach jednostki odcinające musiały początkowo działać w sposób zdecydowanie zaczepny, dążąc do zajęcia wyznaczonych celów terenowych; dopiero później na obranym przez siebie miejscu stawiały zacięty opór. Toteż spadochroniarze winni być przygotowani zarówno do działań zaczepnych, jak i obronnych; muszą również być wprawieni do walk szturmowych na bliskie odległości.

Zdaję sobie sprawę, że daleki jestem od wyczerpania zagadnienia. Każdy z wysuniętych wniosków wymagałby właściwie dalszego rozwinięcia. Będę jednak uważał, że zrobiłem dużo, jeżeli uwagi moje wywołają dyskusję śród spadochroniarzy oraz tych kolegów, których działania spadochronowe interesują.

ALEKSANDER BROCHOWICZ

ZAPRAWA SPORTOWA SPADOCHRONIARZY

SPADOCHRONIARSTWO zajmuje w gronie wielkiej rodziny sportów własne niezależne stanowisko. Zawiera ono wiele momentów pociągających, toteż już przed wojną wśród osób, które miały sposobność zetknąć się z nim bezpośrednio, samorzutnie wzrastały szeregi jego zwolenników.

W okresie wojennym przeważa oczywiście nie czynnik zadowolenia, sportowego, ale przeznaczenie użytkowe dla określonych zadań bojowych. Podobna dwoistość nie jest bynajmniej zjawiskiem wyjątkowym i występuje również w innych konkurencjach sportowych. Tak więc marsz w ujęciu sportowym może stanowić rozrywkę, gdy jednak służy określonemu celowi i jest wykonywany z obowiązku, przeistacza się w pracę. Obserwator zewnętrzny nie dostrzeże w obu wypadkach żadnej różnicy, natomiast ustosunkowanie wewnętrzne jest wyraźnie odmienne.

Z góry należy się liczyć z tym, że wśród spadochroniarzy obok jednostek, które traktować będą skoki z nastawieniem sportowym, spotkamy takie, które kierują się przede wszystkim rozsądkiem, a napotykane opory przełamują siłą woli. Jednak dla obu rodzajów skoczków potrzebne jest przygotowanie podobne, i to zarówno pod względem fizycznym, jak i w dziedzinie charakteru.

W masowym szkoleniu spadochronowym musimy wziąć pod uwagę fakt, że nie wszyscy kandydaci są sportowcami. Z tego względu za podstawę ćwiczeń bierzemy możliwości człowieka przeciętnego, o wystarczającym zdrowiu i kondycji fizycznej, nieświadomego pełni własnych sił i możliwości. Musi on dorównać tym, którzy są w stanie przystąpić od razu do wysiłków trudniejszych. Do tego celu prowadzi odpowiedni program gimnastyki, który daje przygotowanie ogólne całego organizmu do skoków spadochronowych.

Szczególny nacisk kładziemy na ćwiczenia stawowe, wyrobienie gibkości i miękkości ruchów. Dążymy również do wzmocnienia niektórych partii mięśni i stawów /jak skokowy/ oraz wydłużenia mięśni grzbietowych. We wszystkich ćwiczeniach dbamy o ukształtowanie właściwej sylwetki, która przypomina nieco postawę skoczka narciarskiego.

Podobnie jak we wszystkich odmianach sportu, trener troszczyć się musi o zgranie mięśni i nerwów. W połączeniu z oszczędnym działaniem muskułów daje ono *styl,* który jest po prostu celową pracą całego organizmu dla wykonania określonego wysiłku.

Szczególne znaczenie posiada w spadochroniarstwie zmysł mięśniowo-stawowy, którego ilustrację stanowić może jazda narciarska w nocy, kiedy nie widzimy nierówności terenu, ale wyczuwamy je całą aparaturą naszego ciała. Wobec szybkości spadania skoczek powinien uzyskać przez odpowiednie ćwiczenia przygotowawcze zdolność odruchowego wyczucia momentu lądowania i gotowość przybrania właściwej postawy oraz wykonania potrzebnej pracy mięśni.

We wszelkich ćwiczeniach przywiązuje kierownik dużą wagę do pozycji wyjściowych. Ruchy znamionuje dynamizm i żywe tempo. Dużo miejsca wypada poświęcić ćwiczeniom nóg, barków, grzbietu i brzucha. Obok ruchów wolnych wprowadzamy do gimnastyki ćwiczenia stosowane na przyrządach, które przyczyniają się do usprawnienia ogólnej koordynacji ruchów. Częste zastosowanie znajdują równoważnie różnych rodzajów, dalej urządzenia do skoków, jak koń, kozioł, skrzynia etc.; zjawiskiem pospolitym są zwisy i wspinania.

Poważną rolę w treningu spadochronowym odgrywać będą z natury rzeczy skoki. Będą się one zwykle nieco różniły od normalnych, zarówno bowiem lot, jak i lądowanie muszą być przystosowane do pracy skoczka powietrznego. Tak więc lot przez przyrząd nie powinien być wykonywany w pozycji wyprostowanej, przy lądowaniu zaś nogi winny być zwarte; nadto często dodajemy moment przewrotu. Staramy się również o to, aby spadochroniarz nauczył się złagodzić siłę zderzenia z ziemią i przybierać jak najkorzystniejszy układ kośćca i mięśni.

Trening urozmaica gimnastyka terenowa, która wprowadza ćwiczącego w naturalne warunki. Zaprawia ona do zwiększonego wysiłku fizycznego i przyczynia się znakomicie do dalszego wyrobienia koordynacji mięśniowo-ruchowej. Stopniowo likwidujemy resztki instynktownego lęku przestrzeni, wyrabiamy opanowanie i szybkość decyzji.

Przy doborze ćwiczeń uwzględniane są oczywiście na szeroką skalę te, które mogą znaleźć zastosowanie w działaniach wojennych. Przybory można urozmaicać dowoli, wyzyskując przy tym przedmioty najbliższego otoczenia, jak belki, drzewa, zasieki, mosty, ogrodzenia, wyrwy w terenie i t.p. Ćwiczący przebywają płoty o trzymetrowej wysokości, wykonują szybkie wyskoki przez małe okna, nabywają umiejętności posługiwania się liną i tyczką. Nie trzeba dodawać, że w wyniku ogólnym wytwarza się całość żywa i wielostronna.

Rzeczą ważną jest taki plan i układ ogólny ćwiczeń, aby usprawnienie postępowało stopniowo i systematycznie. Zmiany na korzyść przechodzą niekiedy oczekiwania. Ruchy, które początkowo sprawiały ćwiczącym niepokonalne trudności, po pewnym czasie są wykonywane niemal bez wysiłku. Gdyby ktoś przyglądał się z boku gromadce ćwiczących spadochroniarzy, mógłby nabrać przeświadczenia, że ma przed sobą zespół o jakichś specjalnych uzdolnieniach akrobatycznych. Tymczasem cały sekret polega na stałym i regularnym postępie.

Stopniowo wchodzimy w dziedzinę właściwego skoku spadochronowego. Z punktu widzenia sportowego należy on do rodziny skoków, spośród których wyróżnia się jednak korzystnie czynnikiem swoistej emocji. Podobnie jak w każdym rodzaju skoków, wyróżnić w nim możemy cztery podstawowe czynniki: rozbieg, odbicie, lot i lądowanie, z tym jedynie zastrzeżeniem, że rolę pierwszego z tych czynników spełnia samolot. Każde z tych ogniw winno być opracowane tak, aby skoczek wyrobił sobie właściwy styl i nabrał pewności siebie.

Jak stąd wynika, stronie fizycznej szkolenia odpowiadać musi określona postawa duchowa. O znaczeniu jej można sobie wyrobić pojęcie choćby na podstawie obserwacji, jakich dostarczają zwykłe zawody sportowe. Skoczek, który nie posiada odpowiedniego wyrobienia wewnętrznego, zaczyna od długich wahań, domierzania, odmierzania; niby dokonywa rozbiegu i nagle zatrzymuje się, wracając na miejsce startu; wkońcu gdy zdecyduje się na odbicie, nie jest w stanie włożyć w wykonywany wysiłek całego ładunku energii. To samo niebezpieczeństwo zagraża spadochroniarzowi, jeśli nie przeszedł niezbędnej "szkoły."

Szybka decyzja cechuje albo silne charaktery, albo jednostkę, która przez trening uzyskała określone przyzwyczajenia i nabyła automatycznych odruchów. W zwykłych zawodach skokowych lot jest względnie krótkotrwały, mimo to jednak skaczący jest w stanie zachować panowanie nad ruchem i układem mięśni. W skoku spadochronowym, trwającym stosunkowo dłużej, dochodzi do głosu zarówno automatyzm reakcyj, jak i świadoma praca, wpływając równomiernie na fazę końcową—lądowanie.

W tym miejscu należy sprostować dość pospolite przeświadczenie, jakoby większa wysokość skoku miała stanowić dla spadochroniarzy jakieś dodatkowe utrudnienie. Sprawa przedstawia się wręcz odmiennie. Gdy samolot znajduje się na wysokim pułapie, skaczący zyskuje więcej czasu na zorientowanie się w przebiegu własnego lotu i przybranie właściwej pozycji przy doskoku. Jednak wzgląd na bezpieczeństwo spadochroniarza przed nieprzyjacielem nakazuje skrócić jego lot powietrzny do niezbędnego minimum. Obecnie stosuje się spadochrony, otwierające się automatycznie, a więc uniezależnione od samopoczucia skaczących, skoki zaś są dokonywane z wysokości, nie przekraczającej kilkuset metrów. W tych warunkach czas mierzy się na sekundy, toteż indywidualna sprawność reakcji winna być jak największa.

Techniczne ćwiczenia spadochronowe są początkowo przeprowadzane w taki sposób, aby ułatwić kandydatowi opanowanie poszczególnych elementów skoku spadochronowego. Specjalnie skonstruowane otwory wdrażają go do wyskoku z samolotu. Zachowania się w locie uczą trapezy w ruchu, umiejętności lądowania — trapezy opuszczane. Egzamin ostateczny stanowi wieża spadochronowa, która daje niemal wszystkie elementy właściwego skoku. Pozwala ona kontrolować z całą dokładnością postawę skaczącego w każdym etapie jego wysiłku.

Pamiętać trzeba, że skok—to nie uwieńczenie wysiłku spadochroniarza, ale zaledwie wstęp, umożliwiający przystąpienie do wykonania właściwych zadań bojowych. Zrzucane oddziały mieć będą zwykle na widoku akcje, wymagające wysokiego stopnia ogólnej sprawności fizycznej oraz dużej wytrzymałości. Poza tym muszą się one składać z ludzi zdecydowanych na wszystko, wykazujących w potrzebie bezwzględną determinację oraz tę pasję wewnętrzną, która pozwala rzucić na szalę ostatnie zasoby energii, te właśnie, których zabraknąć może przeciwnikom. Nietrudno dostrzec, że takie nastawienie przypomina wyraźnie postawę sportową, cechującą znakomitych, rasowych zawodników.

Na takim tle uwydatnia się w pełni doniosłość elementu sportowego w szkoleniu spadochronowym. Przygotowanie ogólne, dając spadochroniarzowi dobrą kondycję fizyczną, spotęgowało w nim potrzebę znaczniejszego wysiłku. Dlatego garnie się on tym chętniej do sportu zawodniczego, tak indywidualnego, jak i zbiorowego. Wie doskonale, że dobra forma potrzebna mu jest nie tylko na dziś, lecz nieustannie, że trzeba ją systematycznie podtrzymywać i kontrolować.

Wśród sportów, interesujących spadochroniarza bezpośrednio, na miejsce naczelne wysuwają się oczywiście różne odmiany walki. Boks i walka wręcz wyrabiają niezbędną pewność przy bezpośrednim zwarciu z przeciwnikiem, a zarazem dają korzyści praktyczne jako szkoła samoobrony.

Im twardsze wymagania, stawiane przez sport zawodnikom, tym większa jest ich wartość pod kątem widzenia przyszłych zadań bojowych spadochroniarzy. Zawsze pociągać ich będzie narciarstwo, jako ta dziedzina sportowa, która wykazuje wiele zbieżności z techniką spadochronową. Spinaczka oswaja ich z ryzykiem przebywania trudnych przeszkód terenowych, przyzwyczaja do samokontroli i dokładności. Obfity program uzupełniają gry sportowe, jak piłka nożna, szczypiorniak i koszykówka.

Z biegiem czasu gimnastyka i sport przestają stanowić dla spadochroniarza sprawę obowiązku. Wchodzą mu one niejako w krew, stając się pierwszą potrzebą, a zarazem codzienną rozrywką i przyjemnością. Skoro raz złapie tempo wysiłku fizycznego, który mu jest potrzebny do utrzymania się w kondycji szczytowej, pozostaje mu wierny w każdej okoliczności. Nie ma pory roku, która by stwarzała pod tym względem jakieś ograniczenia.

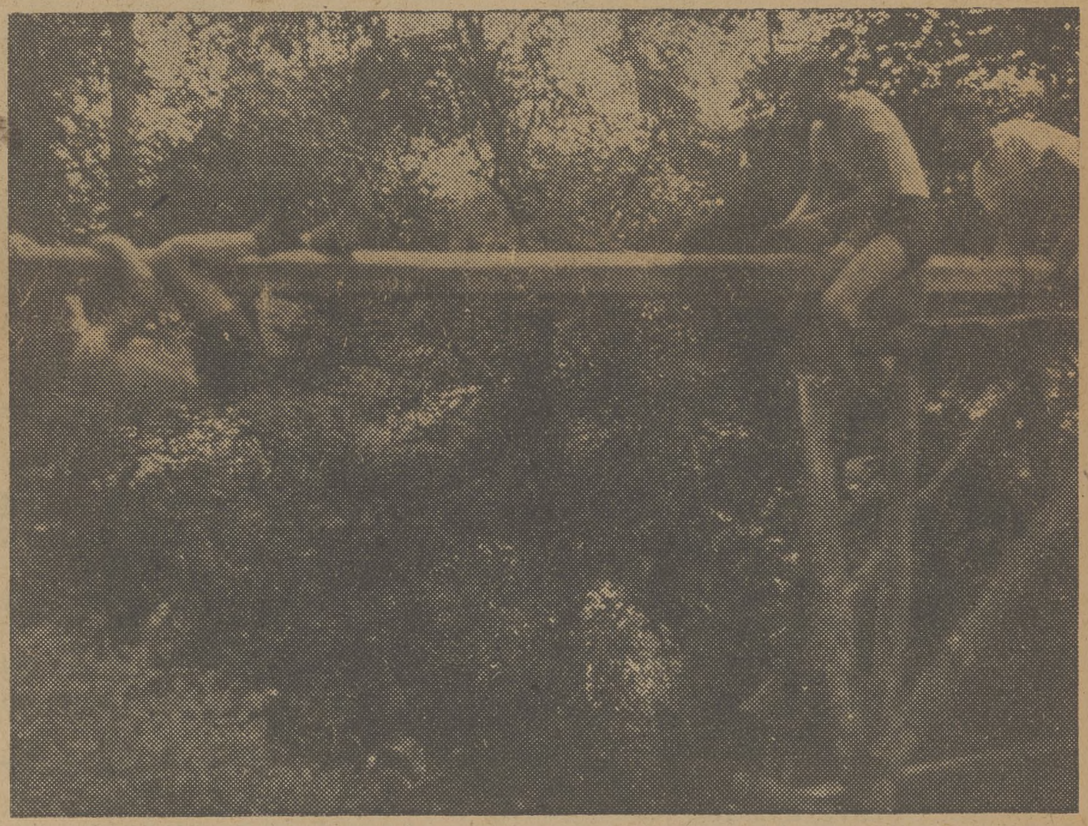
Ćwiczenia sportowe, stosowane regularnie i systematycznie, przyczyniają się do wytworzenia określonego typu fizycznego żołnierza spadochronowego. Będzie to z reguły jednostka, dająca się wyróżnić na pierwszy rzut oka doskonałą postawą i tym prądem dynamizmu, jaki bije od wysokiego ładunku energii mięśniowej. Wzajemne współżycie i zespołowa współpraca dają spadochroniarzom poczucie dużych możliwości, to poczucie, którym fascynuje na boisku widownię i przeciwnika dobrze prowadzona przez trenera drużyna piłkarska. Naturalnym następstwem jest duch ofensywny, jako samorzutne dążenie do wyładowań w warunkach bojowych.

LUDOMIR GALIŃSKI



Na lewo:
Skok przez okno, wyrabiający umiejętność lądowania i ogólną koordynację mięśniową.

Na prawo:
Ćwiczenie na kładce, doskonalące zmysł równowagi.



SPADOCHRONIARZE WOLNEJ FRANCJI

PRZED typowym szkockim *castle,* ozdobionym trzema flagami alianckimi: brytyjską, polską i francuską, ustawiła się spora gromadka oficerów i szeregowych francuskich, którzy przebyli trening i skoki spadochronowe w polskiej Brygadzie. Są nieco podnieceni, ale humory mają doskonałe. Widać, że przeżyte emocje nie zaszkodziły ich samopoczuciu.

Spadochroniarze polscy próbują nawiązać z nimi rozmowę. Początkowo wymiana zdań idzie opornie. Zangielszczone języki z trudem naginają się do wymagań słodkiej mowy francuskiej; na usta zamiast "oui" wybiega uparcie "yes". Stopniowo jednak opory znikają i żarty sypią się, jak z rogu obfitości. Zaczyna prószyć delikatny śnieg.

—Baczność!

Oddział spadochroniarzy polskich w pełnym rynsztunku prezentuje broń. Nadjeżdża Dowódca Brygady, któremu towarzyszy francuski pułkownik lotnictwa, reprezentujący dowódcę wojsk Wolnej Francji. Niebawem przybywa również przedstawiciel Dowódcy Korpusu. Krótki raport, po czym goście przechodzą przed szeregami polskim i francuskim, wyprężonymi w milczącym oczekiwaniu.

Przemówienia były zwięzłe, prawdziwie żołnierskie. Dowódca Brygady polskiej przypomniał, że zgodnie z decyzją Naczelnego Wodza Gen. Sikorskiego znak spadochronowy nie może być nadany honorowo i że otrzymują go tylko ci, którzy przeszli pełne przeszkolenie spadochronowe.

"Znak ten",—ciągnął dowódca, —"przypomina nam stale, że winniśmy być pierwsi w ojczyźnie naszej. Wiem, że podobny obowiązek spoczywa na was. I wy powołani jesteście do tego, by być pierwszymi, którzy piękną ziemię francuską uwolnią od wspólnego nieprzyjaciela. Wierzę, że odznaka nasza przywodzić wam będzie na myśl odwieczne braterstwo broni, jakie istnieje między Polską i wami, narodem Wolnych Francuzów."

Za chwilę na mundurach spadochroniarzy francuskich zabłysnęła nasza odznaka. Znali ją dobrze, ale przyglądali się jej tak, jak gdyby ujrzeli ją nagle w innym oświetleniu. I my doznaliśmy dziwnego wzruszenia. W prostym ceremoniale, jak w nagłym spięciu, objawiła się nam raz jeszcze wspólnota naszego przeznaczenia. Zabłysnęła nieustępliwa wola alianta, gotującego się na równi z nami do wspólnej rozprawy, do jednego wielkiego natarcia.

Ze skupieniem wysłuchaliśmy pułkownika wolnych Francuzów, który dziękował serdecznie za przeszkolenie żołnierzy francuskich, za pracę, włożoną przez polskich instruktorów, oraz opiekę ze strony kierownictwa. Na końcu wyraził on wiarę, że chwila powrotu jest już bliska, a wówczas sztandar biało-czerwony zawiśnie znowu na wieżach Wawelu, murach Torunia, Poznania, Gdyni i Gdańska, tak, jak trójkolorowa flaga powieje nad Notre Dame oraz katedrami Strassbourga i Metzu. Drogie naszym sercom imiona brzmiały w jego ustach jasno i wyraźnie.

Raz jeszcze spoglądamy na grupę sprzymierzonych spadochroniarzy, która ma za chwilę opuścić nasze szeregi dla wypełnienia własnych zadań narodowych. Wyglądają znakomicie. Bije od nich doskonała kondycja fizyczna i pewność siebie. Czujemy, że jeśli zaczną walczyć, nie będzie to obrona, lecz atak. Atak gwałtowny, nieustępliwy i zwycięski.

ANDRZEJ RZECKI



Odprawa



Do samolotu marsz

CIEKAWE WOJSKO

ŻYCIE żołnierskie w naszych obecnych warunkach, kiedy—co tu mówić—krótkie spięcia wojenne następują po długich okresach zastoju i gdy się jest skazanym na mniej lub więcej interesującą, ale napewno jednostajną służbę garnizonową, niezawsze jest pełne powabu.

Odczuwają to dotkliwie wszyscy Polacy, którzy mają w sobie zakorzenioną tęsknotę wrażeń. A cóż mówić o nas, wędrowcach, którzy w swej przytłaczającej większości przeżyli fantastyczne przygody, jak gdyby wyjęte z powieści awanturniczej? Przekradaliśmy się przez ziemie, zajęte przez nieprzyjaciół; przechodziliśmy z jednej okupacji do drugiej; siedzieliśmy w obozach koncentracyjnych i wyrywaliśmy się z nich pośród tysiącznych trudności; przestaliśmy uważać granice za przeszkodę w naszych wędrówkach; biliśmy się we Francji i Norwegii; przebyliśmy wiele etapów organizacji i reorganizacji. Toteż choć rozum kazał nam uważać codzienną, szarą służbę żołnierską za celową i niezbędną, uczuciowo stawała się ona często nieco dokuczliwa.

Aż nagle pękła bomba: staliśmy się wojskiem spadochronowym. Zaczęły się dziać rzeczy ciekawe i niezwykłe. Prąd zainteresowania zelektryzował nasze szeregi. A jakże to z tym skokiem? po prostu siada się do samolotu czy balonu i skacze na łeb, na szyję? Okazuje się, że przedtem trzeba przejść staranny trening, aby mieć jak największą gwarancję bezpiecznego lądowania. Zależnie od warunków atmosferycznych leci się w dół z szybkością 5 do 7 metrów na sekundę; gdy przypadek rzuca skoczka na twardą glebę, zetknięcie się z nią nie zawsze jest pieszczotą. Toteż trzeba mieć mocne, sprężyste nogi, wygimnastykowane mięśnie.

A przecież śród społeczeństwa spadochronowego widuje się rozmaite jednostki: młodych chłopców—i zupełnie dojrzałych panów; strzelców i starszych podoficerów; podporuczników i pułkowników. Jednak na wszystko jest rada. Szacowne urządzenia "Małpiego Gaju" znane są już nie tylko śród naszych żołnierzy, lecz i Brytyjczyków. Wystarczy kilka tygodni pobytu w tym miłym zakątku natury, aby poczuć się nowym człowiekiem. Karykaturzysta umieścił na wejściu do "Małpiego Gaju" pociągający napis: "Szukasz śmierci—wstąp na chwilę", ale to tylko przez kokieterię. . .

Taki jest początek emocji. Zaczynają się właściwe skoki—dobra impreza sportowa, w niczym nie ustępująca skokom narciarskim. Czasem leci się w balonie, czasem w samolocie, jak komu wypadnie. W balonie sensacje są mniej przyjemne, bo zanadto się kiwa—o chorobę morską nietrudno. Ale któż by na to uważał. Gdy wyskakujesz, przez chwilę lecisz jak kula, zanim się nie rozwinie zbawczy spadochron. Nie ma właściwie niebezpieczeństwa, ale emocja jest—prawdziwa sportowa emocja.

Myślisz, że wrażenia się wyczerpały? Nie lękaj się o to: masz ich jeszcze wiele przed sobą. Gdy wracasz do oddziału, czekają cię nowe przejścia. Każą ci przebywać przeszkody, zdobywać je; przeprawiać się przez wody o własnych siłach, nawet jeśliś nie opanował sztuki pływania; nauczą cię takich rodzajów walki, o których ci się nigdy nie śniło; masz posiąść sztukę przemykania się przez osiedla, niepoznany przez innych—musisz wiedzieć, jak się zachować, aby w twoim pobliżu pies nie zaszczekał; masz wysadzać obiekty, jak kwalifikowany saper; puszczają cię samopas w teren—sam odnajdujesz potrzebne ci szlaki, sam warzysz, ba! własnymi siłami zdobywasz żywność.

Czy przypuszczałeś kiedykolwiek, że staniesz się takim wszechstronnym specjalistą? Wojsko, harcerstwo, sport, włóczęga turystyczna razem składają się na twoje życie, dając ci to, co w nich najżywsze, najbardziej pociągające.

Nie jesteś sam: otaczają cię koledzy, którzy dzielą z tobą dolę i niedolę i z którymi niebawem zawiązujesz nierozerwalne węzły braterstwa. Zarazem zaczynasz w pełni odczuwać wagę prawdziwej, twardej dyscypliny, potrzebnej na każdym kroku tak zwierzchnikom, jak i podwładnym. Zdobywasz co raz większe zaufanie do samego siebie i do otoczenia; zaczynasz żyć życiem pełniejszym i bogatszym; czujesz, że zyskałeś szansę okazania wszystkich wartości: duchowych i fizycznych—prawdziwego, mocnego człowieka.

Stajesz się wreszcie prawdziwym spadochroniarzem.

STANISŁAW JACEK



Lądowanie

Rysunki STANISŁAWA KOWALCZEWSKIEGO



Gaszenie czaszy



Spadochroniarze w akcji

ZIEMIA PRZYCIĄGA DO SIEBIE

RUCH. Wszędzie wre praca bez przerwy.

Olbrzymy, stojące na trawie, przygotowują do lotu ich opiekunowie, niebiescy chłopcy z R.A.F.-u. Samoloty, stojące w hangarach, obsiedli mechanicy, niczem mrówki chrząszcza. Kręcą, pasują, czyszczą, malują. Nieustanny hałas, śmiechy i dudnienie, przygłuszane co pewien czas potężnym warkotem zapuszczonego gdzieś przed hangarem silnika. Przez otwarte wrota wpada pęd powietrza i kurzu—i ryk silnika cichnie, zlewając się z bezustannym brzęczeniem roju, szybującego bez wytchnienia w przestworzach.

* * *

Duża, jasna sala. Na długich stołach leżą rozciągnięte jakieś łachmany. Żółte lub białe. Obok uśmiechnięci, niebiescy chłopcy.

W tej to sali rodzi się spadochroniarz. W myślach czuje się nim już dawno. Usprawnione długotrwałym—"małpim" zaiste treningiem mieśnie zdają się być mięśniami zawodowego skoczka. Ale to wszystko, jak dotąd, teoria, tylko teoria. Nawet te skoki przez dziurę z pierwszego piętra na parter — na trociny, nawet ta huśtawka na linach, nawet te długie wywody — jak "gasić czaszę" lub hamować wahnięcia. . . . To fraszki! Dopiero gdy nadchodzi chwila kiedy stajesz, bracie, oko w oko ze spadochronem, któremu masz zamiar powierzyć swoje drogocenne życie na przestrzeni kilkuset metrów, dopiero wtedy rodzisz się prawdziwym spadochroniarzem.

* * *

Naprzód linki. Pieścisz je niemal, myśląc w duchu—czy aby wytrzymają?

Potem sama "czasza" czyli płachta. Każdy poszczególny placik (a jest ich dosyć) badasz bystrym wzrokiem, wąchasz niemal—czy aby jakiejś dziurki broń Boże nie ma.

Z boku stoi niebieski chłopiec R.A.F.-u i uśmiecha się napół pobłażliwie, napół troskliwie.

Czasza już zwinięta i wtłoczona do futerału, do którego przywiązuje się ją kawałkiem sznurka.

—Czy aby szpagat wytrzyma?—pytasz niespokojnie.

Słońce zaczyna przypiekać. Niebieskie niebo uśmiecha się przyjaźnie, zachęcająco.

Przed hangarem sznur ludzi. Khaki mundury odbijają się od niebieskich chłopców i niebieskiego nieba. Do zielonej trawki pasują daleko lepiej . . . Miny zadzierzyste, że bez kija nie przystępuj, ale w oczach czai się niepewność. . . . Na plecach wielkie garby spadochronów. Szelki ściśle zapięte nie pozwalają wyprostować się swobodnie. Głosy dziwnie podniesione:

—Gdyby mi kto dwa lata temu . . . co,—rok temu powiedział, że będę skakał, to . . .—

A to już—niedługo, za chwilę niemal! Na trawnik wtłacza się szaro-czarna "krowa." Silnik ryczy; trawa przylgnęła do ziemi.

Ośmiu ludzi znika w czeluściach długiego kadłuba.

* * *

Siadamy plecami oparci o cienkie ścianki. Czterech z jednej strony, czterech z drugiej. Między nami okrągła dziura, przez która widać uginającą się od podmuchu śmigła trawę; nad nami, niczym kura pilnująca troskliwie piskląt, uśmiechnięty niebieski chłopak o rudej czuprynie—instruktor.

Cisza. Tylko samolot drży jak w febrze. Chwila — i trawa w otworze dziury zaczyna uciekać do tyłu. Coraz szybciej, szybciej. . . . Ciemno. Trochę duszno. Silnik ryczy, szelki gniotą, podłoga twarda jak nieszczęście. I nagle orientujemy się, że już lecimy, że trawa została daleko pod nami.

Przez dziurę, jak na ekranie, widać ziemię. Lotnisko z mrówkami-ludźmi, uganiającymi się po nim, i chrząszczami-samolotami, drzemiącymi w słońcu. Jakieś domki z czerwonej cegły, stawek, drzewa. . . . A wszystko to co raz mniejsze, co raz bardziej przypominające zabawki ze sklepowych wystaw.

Lecimy. Równo, prawie bez wstrząsów. Miny poważne, "nadrabiane." Ktoś opowiada kawały, ktoś próbuje straszyć i kruka odstawiać, a każdy myśli: —Jak to będzie? Czy przy skoku nie wyrżnę ibem o burtę dziury? Czy matka-ziemia nie okaże się zbyt twarda przy lądowaniu? Czy . . . czy . . . A grunt, by nikt nie poznał, że mam lekkiego boja. . . . A możeby jednak nie skoczyć, jeszcze czas—i aż wszystko się wstrząsa w człowieku na myśl, iż coś takiego mógłby zrobić, i aż dreszcz przechodzi, czy aby ktoś nie zauważył, iż coś takiego mogło mi na myśl przyjść.

—Jeszcze czego! Kto mówi, że się boję? Jak bym się zawziął, to i bez spadochrona mogę!

Krajobraz oglądany przez dziurę zmienia się ciągle—i nagle, ni stad ni z owąd, uprzytamnia sobie człowiek, że gdyby tak może trochę więcej benzyny, to można by zaraz lądy i morza przeskoczyć i miast tu—tam, nad naszą ziemią rozwinąć swoje skrzydła.

—Action station!!!

Rany Boskie—to już. Komenda instruktora wyrywa z marzeń. Wzrok przeskakuje gwałtownie z mirażu nadwiślańskich pól i sądów na lampki, umieszczone nad groźną dziurą. Pali się czerwona. Za chwilę zabłyśnie zielona i. . . .

Pierwszy ze skoczków spuścił już nogi w dziurę i siedzi, wpatrzony w instruktora jak w obraz. Boże, spojrzeć teraz w dół. Może się skoku odechcieć i niedobrze zrobić i w ogóle można kilka pięknych kozłów machnąć, w linki się zapłątać.

Drugi skoczek też już gotów. Ktoś przypina mnie z tyłu do pasa biegnącego wzdłuż samolotu. Cisza. Każdy w tym ułamku sekundy przypomina sobie, co ma zrobić.

—One . . .

Już pierwszego nie ma. Zniknął w czeluściach coraz groźniejszej dziury.

—Two . . . Three . . . Four . . . Container . . . Five. . . .

Ułamki sekundy lecą. Co chwila jakaś głowa znika w otworze. Co chwila jednego mniej. Jak urzeczony patrzę na podnoszaca się i opadającą za każdym razem rękę instruktora. Jestem coraz bliżej dziury . . . Coraz bliżej . . . Już spuszczam w nią nogi. . . . Pode mną stumetrowa otchłań. Staram się nie myśleć o tym. .

—Six . . . Seven. . . .

To już!

Lekki wstrząs. Otwieram oczy. Bujam swobodnie w powietrzu. Nade mną szeroko rozpięta żołta płachta,—pode mną dziwnie falująca zielona ziemia. Drzewa, trawa i ludzie małe mrówki, pełzające po niej.

Czuje się strasznie wesół. Pogwizduję ochoczo. Szeroko otwartymi oczyma chłonę roztaczający się wokólo widok. W pół otwarte z emocji usta łykają świeże, aromatyczne powietrze. Zdaje się, że stoję w powietrzu, sam zawieszony w przestworzach, że to nie ja, lecz ziemia tak dziwnie kiwa się wkoło. Mam czas—murawa przecież jeszcze tak daleko. . . . . Wygodnie sadowię się w szelkach. Piersi rozpiera radość—pierwszy skok już odbyty.

Już?

Z dołu ktoś wrzeszczy przez megafon:

—Nogi razem. . . . Skręcić się pod wiatr. . . .

Spoglądam z pewnym żalem i zdziwieniem na ziemię. Rany Boskie—jak ona już blisko. Dopiero co bujałem beztrosko wśród przestworzy, a tu nagle szeroki horyzont wypełnił się zielenią trawy i drzew, mrówki—ludzie wyrośli do wielkości jamników, a ja sam lecę z niesamowitą szybkością w dół. Lądowanie tuż—szybko. Trzeba się jeszcze podciągnąć, wykręcić pod wiatr . . . Zawszeć bezpieczniej zębami w nią rznąć, niż krzyżem . . .

Już . . . już . . Myśli wirują w głowie. Byle nogi nie złamać. Byle . . . Beztroski nastrój prysł. Znowu ktoś ryczy przez megafon. Trawa w oczach rośnie. Podciągam się, "gaszę" . . .

Bęc!

Naprzód pięty, potem siedzenie, wreszcie głowa. Koziołek do tyłu, przepisowy.

Gramolę się wśród zwoju linek. Ściągam czaszę, otrząsając się jeszcze z wrażenia, wywołanego gwałtownym zetknięciem się z matką-ziemią. Oj, twarda ona, twarda. Ruszam delikatnie wszystkimi kończynami. Nic nie boli, wszystko w porządku.

Ktoś biegnie i—jak tam?—krzyczy już z dala. Zwijam starannie płachtę, która mnie na przestrzeni tych stu metrów dźwigała.

—Doskonale—odkrzykuję.

Nastrój wrócił. Radość rozsadza piersi.

* * *

A na ostatek w księdze pamiątkowej spadochroniarza zapisujesz zamaszyście swe imię i nazwisko, przy nim zaś znaczące "OK." Jak żurawiejka chce:

"Ze stu metrów w matkę ziemię rżnie piętami lub siedzeniem!"'

Rozglądasz się bojowo wokoło i pytasz zaraz:

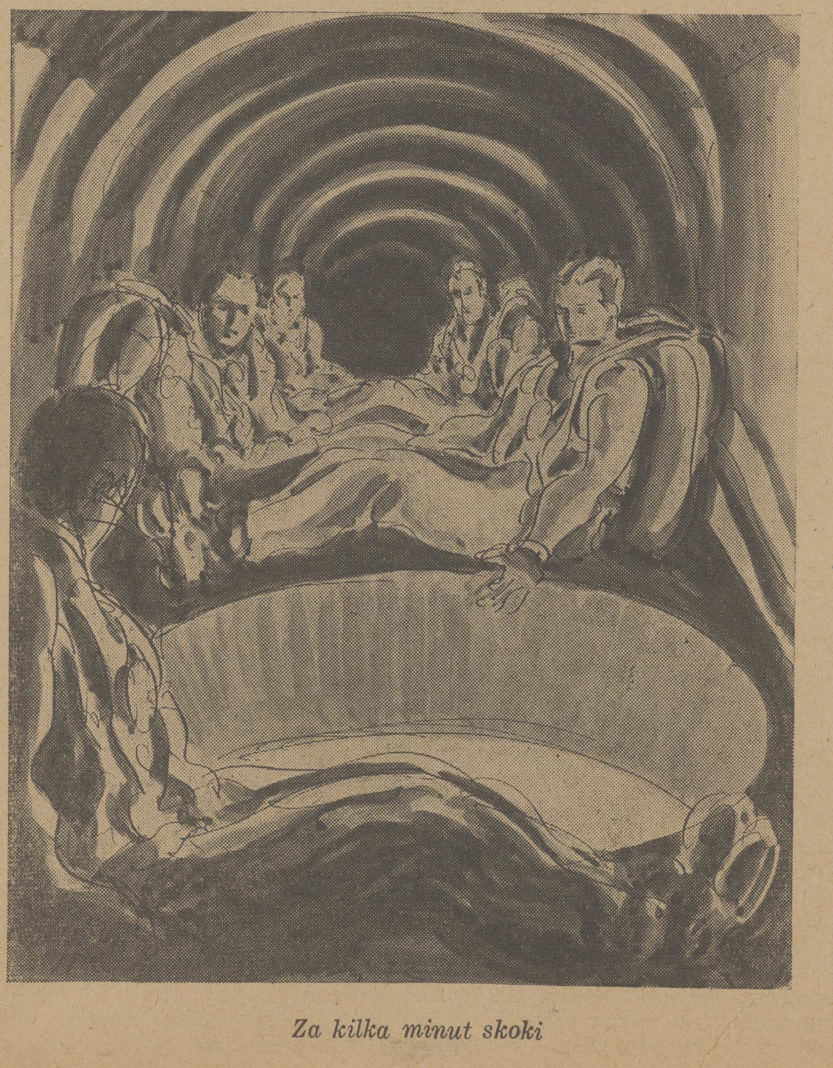
—A może by tak dziś jeszcze raz skakać?

I podoba to ci się.

JACEK BRZEZINA



Już wychodzą z hangaru



Za kilka minut skoki

CHŁOPCY Z NIEBA

Hangary co raz mniejsze,
Świat co raz to śmieszniejszy,
Jak wesołe miasteczko.
Stąd—z pokładu bombowca—
Patrz!
Widzisz tam białe kulki?—to owce!
A staw nakrył się siną chusteczką.

Srebrne ryby—balony nad miastem, na niebie.
Dajże spokój! Do rąk ich nie bierz!
Niechże tamci się bawią—na dole.
Chwytaj puch cumulusów
I ten wiatr! . . . Dobrze musnął!
Aż się skrzywił poczciwy samolot.

Nachyl ziemię zieloną.
Teraz znowu wyprostuj.
Już za chwilę . . .
Mam tremę. A ty się nie boisz?
Patrz na srebrne balony—
Teraz można je dostać—
I ten świat jak dziecinny pokoik.

Sygnał. Głos: "Action station!"
. . . I już co raz to mniejszy,
Roztopiłeś się w dole jak cukier.
"Skok!" I zmieniam się w pocisk
—I za tobą—i w pościg!
Stój!
Spadochron zawinął mię łukiem.

Czarodziejski i pjany
Na bajecznym dywanie
Butem domki potrącam i drzewa.
Idzie ziemia też pjana—
Bokiem—z prawa i z lewa—
Senna, płynna
—jak fata morgana.

Chyba bliżej na księżyc!
Lecz już ziemia się pręży,—
Pluszem łąki przywita—i zdradą.
Chłopcy z nieba zeskoczą
I w ramiona zdradliwej, uroczej
Ziemi—
cudnej dziewczyny upadną.

EUGENIUSZ ROMAN

BEZ SKRZYDEŁ

PIĘKNY ranek majowy zapowiadał się beztrosko. Była to niedziela, a nie groziła mi ani służba, ani warta, ani żadna inna rozrywka z repertuaru codziennego życia żołnierskiego. Golę się spokojnie przed lustrem, co nie idzie mi zbyt łatwo, nie ze względu na to, bym nie umiał operować t.zw. "*safety razor*," ale po prostu dlatego, że lustro umieszczone jest na ścianie na wzrost powyżej 170 cm, ja zaś —co tu długo mówić—jestem wzrostu napoleońskiego. Wtem słyszę na schodach przeraźliwe krzyki:

—Podchorąży . . . do pana majora . . .

No, tom wpadł. O co może chodzić? *What is the matter?*

Kończę szybko zabiegi fryzjerskie i pędzę na dół. Czekał już na nas major, jak zwykle, spokojny i pełen uprzejmości. Z jakimś dziwnym błyskiem oczu rzekł:

—Jutro pan i tacy a tacy panowie pojedziecie na kurs.

—Tak jest, panie majorze. A na jaki kurs?

—Powinien pan wiedzieć.

Klnę się na piękno owej szkockiej niedzieli, że nie wiedziałem. Dopiero generalna narada zdecydowała, że zapewne pojedziemy skakać.

—Jezus, Maria, tego mi właśnie brakowało!

Ale trzymałem się dobrze. Zacząłem nawet trochę szaleć z nadmiaru radości. Nie za głośno, bo obowiązywała tajemnica.

Na odjezdnym poszedłem do znajomych Szkotów. Gospodarz zapytał mnie na wstępie:

—*Do you go to-morrow for jumping?*

Zdrętwiałem w duchu i zaprzeczyłem energicznie, mówiąc coś niewyraźnie o wycieczce krajoznawczej. Wyjazd był przecież ściśle tajny.

W poniedziałek rano dwudziestu delikwentów stawiło się na dworcu. Nikt oczywiście nie wiedział, dokąd jedziemy. Jeden komendant wiedział, ale milczał jak zaklęty. Toteż nie umiem wytłumaczyć, dlaczego każdy z nas wypisał na swym bagażu nazwę tej samej stacji kolejowej. Przypomniałem sobie jednak, że kardynałowie, chociaż odgrodzeni wzajemnie od siebie, wybierają zawsze jednego spośród siebie na papieża. Żaden z nich nie wie, co uczynią inni, a przecież wkońcu wszyscy zgadzają się na jedno . . .

W Edynburgu wybuchło małe zamieszanie, gdyż komendant grupy stracił lekko głowę na widok 16 peronów i miał pewne trudności w znalezieniu pociągu, do którego mieliśmy się przesiąść. A my przecież nic nie wiemy, bo tajemnica obowiązuje. Jakoś jednak kardynalskimi sposobami z całkowitym zachowaniem poufności znaleźliśmy właściwe wagony i ruszyliśmy dalej. Przesiadaliśmy się jeszcze dwa razy i za każdym razem "głos ludu" niewtajemniczonych wspomagał szybkość decyzji komendanta grupy oraz jego znakomitą orientację w terenie.

Nad wieczorem stanęliśmy na miejscu. Pięknym autobusem zawieziono nas do jakiegoś miasta-ogrodu, przypominającego nieco Żolibórz. Jeździliśmy przez godzinę autobusem, a miły angielski kapitan R.A.F. chodził wraz z szoferem od domu do domu, zdobywając dla nas kwatery. Zauważyliśmy, że gdzie rozmowa jego trwała krótko, zaraz jeden z nas niknął w gościnnym wnętrzu "*cottage*" u, a gdy rozmowa się przeciągała, po trzech razach wiedzieliśmy, że nic z kwatery nie będzie. O czym w tych wypadkach rozmawiano, nie wiadomo, zapewne mówili sobie na wzajem "*sorry*."

Dostałem się do miłych państwa, na ochotnika, bo każdy liczył na to, że w następnym domu będzie przystojniejsza, oczywiście nie kwatera. Wyspawszy się pięknie i zjadłszy znakomity "*ham and eggs*," wysłuchałem z zażenowaniem miłych słów gospodyni o odwadze Polaków i niebezpieczeństwach skoku z samolotu. /Skąd ona wie, że przyjechałem skakać? O tajemnico, słodki śnie!/.

Autobusem udałem się na lotnisko. Tyle tam huku, szumu, tyle samolotów, tylu lotników, a w jednym domku—tyle spadochronów! Białych, różowych, niebieskich, a także i czarnych. Poco czarne? Przecież jak się nie otworzy, to kolor jest już obojętny; przy tym trudno przewidzieć, że nie otworzy się akurat czarny. Jednak spadochrony otwierają się zawsze; przynajmniej instruktor zapewniał, że nikt do tej pory nie reklamował, że mu się spadochron nie otworzył.

Ledwie przerobiliśmy kilka ćwiczeń na trapezie, wpadł jakiś młody Anglik i połowę z nas wpakowali do samolotu na oblatanie. Hm, człowiekowi zdawało się, że jest już dość oblatany. Oblatywałem się w drugiej grupie, nie z jakiegoś innego powodu, tylko dlatego, że w takich historiach nie lubię pchać się zbytnio na przód. Może o mnie zapomną. Ale nie zapomnieli . . .

Po południu poszliśmy składać spadochrony. Magik—bo inaczej nie można go nazwać—w mundurze R.A.F. złapał tajemniczy zwój jedwabiu i sznurów, rozciągnął na stole, porozdzielał sznurki /ja na tych sznurkach w powietrzu—o Boże!/, skręcił tkaninę w trąbkę, wszystko to zapakował w duży kwadratowy worek i mocno związał. Z niepokojem patrzyliśmy na te czynności. Wkońcu każdy ze zwijaczy rzucił zwinięty tłumok w naszą stronę, westchnął głęboko /oczywiście ze zmęczenia/ i dodał:

—*All right.*

Nazajutrz znowu byliśmy na lotnisku. Leżeliśmy dość długo w sali na twardych ławach. Co chwila wychodziłem badać stan pogody. Było ładnie i słonecznie, ale płócienna ryba, która miała wskazywać siłę wiatru, rwała się na linie jak szczupak na wędce. Zacząłem się obawiać, że skoków nie będzie . . .

Wpadł młody Anglik, coś krzyknął—i pierwsza grupa ruszyła do samolotu. Oh, zaczyna się. Nałożyliśmy spadochrony. Wyglądałem jak pijak, który guzik od spodni zapiął na dziurkę od kamizelki /o dobre cywilne czasy!/. Myślałem ciągle o tym, że może skoki odwołają, albo w ogóle coś się stanie, albo o mnie zapomną. Mniej więcej takie same myśli ma człowiek, jadący z bukietem w ręku po swoją narzeczoną, aby ją zawieźć do kościoła.

Za chwilę siedziałem w samolocie. Podobno czasem silniki odmawiają posłuszeństwa . . . Nasz jednak nie zawiódł. Zaintonowaliśmy naprzód "Czerwony pas," potem "Tam na błoniu," ale nic z tego nie wyszło. Widocznie wysokość źle wpływa na głos.

Było przyjemnie. Nagle jeden z instruktorów spojrzał w dół i pokazując małe jeziorka, rzekł:

—Tu jeden Francuz wylądował na spadochronie i utopił się.

Zrozumieliśmy, że szanse nasze idą w górę, przecież teraz nie ma lodu. Obaj instruktorzy wrzasnęli sakramentalne: "*Action station!*" Pierwszy z nas usiadł nad dziurą. Jeszcze chwila,—i z przeraźliwym krzykiem: "*Jump!*" połączył się jakiś dziwny hałas, po czym nasz "pierwszy numer" zniknął bez śladu.

—Szczęśliwy — pomyślałem — za chwilę będzie na ziemi.

"Oprawca" najspokojniej w świecie zaczął wyciągać z dziury pas od torby spadochronu, jedyny znak po skoczku. Sześć razy przeżyłem wyskok kolegów. Wkońcu zamyśliłem się, sam nie wiem nad czym. Obudził mię głos instruktora:

—A pan skąd się tutaj wziął?

—Jakto, przecież pan nie przypuszcza, że spadłem z nieba, kiedyśmy razem wsiadali na ziemi? /Zapomniał o mnie, naprawdę zapomniał,—Boże, więc . . ./

—"*Action station!*"—wrzasnął Anglik.

Siadłem nad dziurą i opuściłem nogi. Samolot zrobił w tej chwili nagły piruet. Uczułem, że coś się pode mną usuwa.

—Jump! — zawołał instruktor angielski.

—Jump! — ryknął drugi Anglik.

—Skok!—krzyknął nasz instruktor.

Głosy brzmiały wcale rześko. Widocznie wszyscy byli zadowoleni, że pozbywają się ostatniego pasażera. Lekko odepchnąłem się rękami i . . . Jezus, Maria, co się ze mną działo! Wiatr z przodu, wiatr z tyłu, wiatr z każdej strony. Róża wiatrów, a ja pośrodku. Uczułem, że nogi podchodzą mi do góry i jestem w położeniu poziomym; o, teraz nogi są wyżej niż głowa,—teraz nogi mam w górze.

Muszę śmiesznie wyglądać — pomyślałem—pewnie się ze mnie na dole śmieją.

Nagle — spokój, cisza, błogostan. Nie robię już kozłów, nie czuję wiatru; siedzę sobie wygodnie w szelkach, jak w swoim fotelu domowym, i tylko radia mi brak. Z boku widzę samolot; machnął ogonem i zniknął mi z oczu. Nade mną pręży się pięknie czasza spadochronu. U dołu ziemia, śmiesznie mała i jakoś dziwnie szara. Widzę małe pólko, a na nim ogień i grupkę osób, wymachujących czapkami. Słyszę głos instruktora przez tubę:

—Dobrze—skręt w lewo.

Zrobiłem, co chciał, ale zaczął mię niepokoić bezruch. Czyżbym nie opadał? Może zostanę zawieszony na stałe między niebem i ziemią? Zrozumiałem teraz właściwą grozę tego powiedzenia. Ale z ziemią zaczęło się dziać coś dziwnego. Raz jest z lewa, raz z prawa, a raz jest prawie nade mną. Głos z tuby ryknął:

—Gasić wahania!

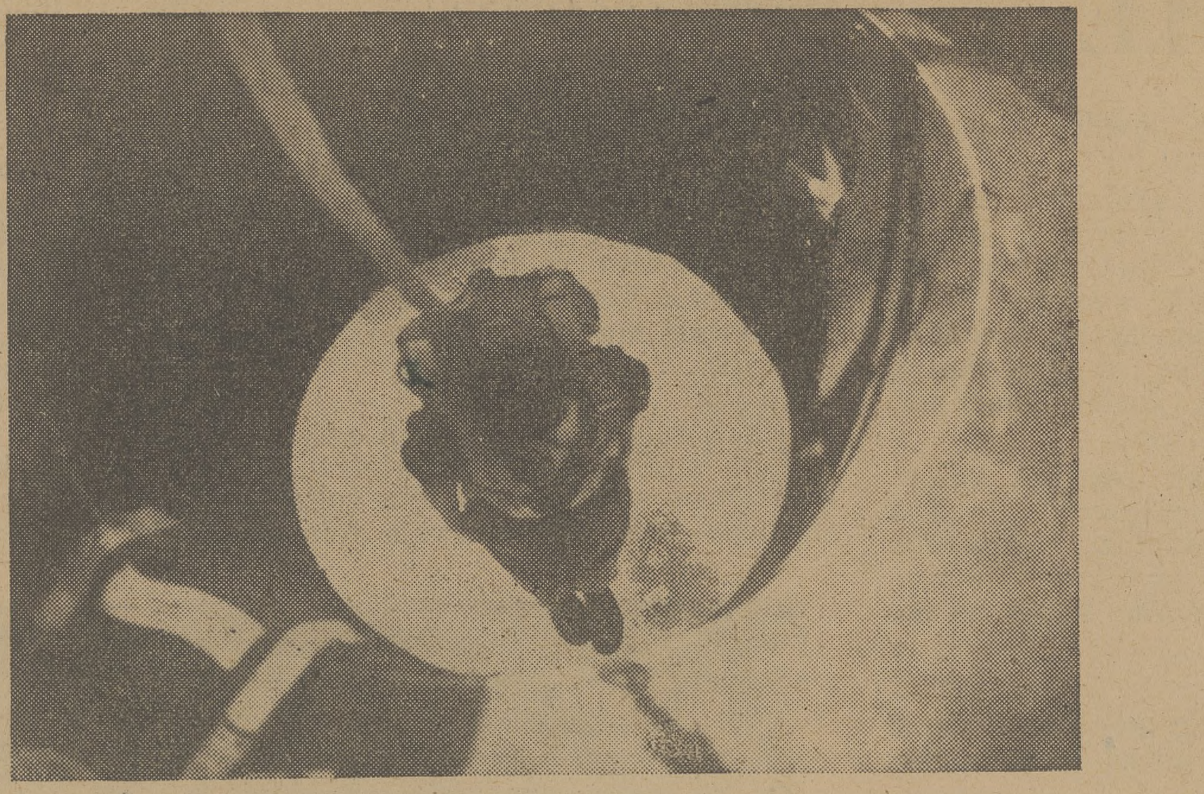
Usiłowałem to uczynić, jednak w tej samej chwili zauważyłem z ulgą, że ziemia pędzi do mnie z przeraźliwą szybkością. Zdenerwował ją widocznie ten mały twór ludzki, który śmiał się od niej oderwać.

Ale gniew nie trwał długo. Zobaczyłem tuż obok siebie uciekającą owcę, a potem trawę. Jeszcze chwila,—i ziemia wzięła mię w swoje objęcia, dając lekko klapsa za to, że byłem niegrzeczny i chodziłem po niebie bez skrzydeł.



U góry:
Spadochroniarze w samolocie oglądani z dołu

U dołu:
Wyskok z samolotu



STANISŁAW FIJALSKI

IMPRESJA ŚNIEŻNA

WYMARSZ o ósmej. Deski przeciągnąć na zjazd, pobrać z magazynu foki dla podejścia. Pójdziemy w kierunku na K. potem zboczami ku wzgórzom T. N. na wysokość około 2000 stóp. Od strony północnej szreń, miejscami nawiany gips. Na stokach południowych firn. Zabrać mapy i kompasy. Warunki atmosferyczne przewiduje się dobre.

Krótki i pełen treści komunikat.

Siedzimy oto w ciepłych komnatach opróżnionego zamku jakiegoś senora . . ., czy innego potomka donów hiszpańskich, który ukochał zimny Highland ponad Sevillę i "La Puerta del Sol". Może schronił się, by zagoić rany serca, zadane przez gorącą Conchitę lub Carmen, a może . . . przed świętą inkwizycją.

Zamek jest tajemniczą ruderą. Wypłowiałe ściany, ciemne plamy, gdzie niegdyś wisiały portrety don Juanów, ocienione z pewnością szerokimi sombrero — mówią w blasku jarzącego się kominka o minionej świetności.

— — — —

Po całodziennym "pędzlowaniu" jesteśmy wypoczęci i gotowi do jutrzejszego wypadu. Muzyka taneczna z płyt uprzyjemnia ciepły spokój. Daleko na północy Szkocji—w mroźną noc, zasypaną gwiazdami i śniegiem—można nie wiedzieć o federacjach i przymierzach.

Za oknami prószy biało, przysypuje równiutko ślady "hikorów." Idzie z nieba miękkie zapomnienie. W pokoju huczy ogień, jak za dobrych czasów w schronisku na Kasprowym. Szczęśliwy kraj.

Znaleźliśmy jasną drogę od trudnych przejść B.-N. przez przeprawę T., szusy z B., aż po skoki z Wellingtona,—drogę do równowagi ducha i prężności mięśni.

— — — —

Jest rano. Słońce kładzie się po górach. /Niebieski odcień, jakby z obrazów Fałata/. A jednak tak daleko od zimowych bajek tatrzańskich, od ostępów leśnych.

— — — —

Jest mroźno i puszyście. Przypomina mi się "Matka Boska na nartach" w "Kantyczkach śnieżnych" Sztaudyngera.—Przejmująco dawno temu.

— — — —

Dzień zaczyna się łagodnym zejściem w dolinę, równiutkim śladem dobrze wysmarowanych nart, poprzez pędzlowisko przed zamkiem hiszpańskim. Z rozpędzonej nagonki przechodzimy w sprawnie pokryty rząd, jak na popisowym biegu.

Tuż za kępą drzew jest uskok; trzeba się pochylić i podać wprzód. Wczesne słońce wydłuża po śniegu sylwetki rosłych postaci. Pęd zamraża ruch, smaga po twarzy ziąbem, rozsypuje pióropusze białego pyłu. Jest przyjemnie i niebezpiecznie.

Wyłaniają się przed nami płoty i pniaki. Trzeba być przygotowanym na tępą kępę wrzosów lub zdradliwy gips. Przymrużone oczy wybiegają daleko, wyszukując błyskawicznie przejść wąskich na szerokość desek i momentu do poderwania się przed przeszkodą.

Wynosi nas na niewielkie wzgórze—szybkością zjazdu. Wynurzamy się jak ciekawe bielaki, przystając chwilę, by znowu zszusować zapamiętale w dół.—Łowcy wiatru i kochankowie śniegu.

Z kolei czeka nas płaski marsz długim glenem, podejścia nie zawsze przyjemne—mokre i męczące. Idziemy zakosami, piątkujemy. Wypada tu i ówdzie męczyć się schodami. Nic to. Za najbliższym horyzontem ukaże się zasłużony ekwiwalent—stok długi i puszysty—nagroda za wylany pot i zmęczenie. U stóp rozciągnie się panorama Highlandu, bogato okraszona słońcem.

Nad K. panują władczo szczyty T. N., H. N. i K. W dole niziutko rzeka B. wlecze za sobą skromną rzeczkę K. W. ku chłodnym nurtom D. Jak spojrzeć, góry i góry, zaledwie parę farm w zasięgu oka.

Bije blask. Zaczyna prażyć. Czas na odpoczynek z kawałkiem czekolady i łykiem gorzkiej kawy.

Zaledwie parę dni goszczą nas wzgórza, upajają widokiem i tłoczą do stęsknionych wyobraźni wspomnienie Podkarpacia, a już jesteśmy brązowi i radośni, zahartowani i śpiewni.—Jakież wspaniałe preludium spadochronowe.

Odpoczynek jest jasny—niemal upalny. Jak słoneczniki odwracamy się do słońca po dobry promień, po zdrowie.

Trzeba nam siły i powietrza, szybkości i przestrzeni.

Oto idzie z tej ziemi, co nas przygarnęła ramieniem postrzępionego wybrzeża, wiew potężny i orzeźwiający.

Piersi, jakby mocy łakome,—chłoną.

— — — —

A naokoło kraj w winietę barwną ubrany, w błękit i przejrzyste biało-błędne obłoki. Tak by się chciało wierzyć w ciszę na niebiosach i w spokojną dolinę,—gdyby nie smukła sylwetka pościgowca, mknącego na wschód ku kresom twardej prawdy,—ku Victorii.

A my? My przecież tą samą trasą, żmudniejszą jeno . . .

Oczy unoszą się w górę i niewypowiedziany szept: "polecimy" —bije w gorących sercach.

STEFAN BORSUKIEWICZ

SPADOCHRONIARZE

"JESTEM kawalerzystą—zwierza się mój rozmówca—motor nie zastąpił mi konia. Nie mogłem się pogodzić z ciągłą zależnością od benzyny, babraniem się w smarach i brakiem powietrza w pudle wozu. Tutaj odnajduję utraconą cząstkę życia. Proszę sobie wyobrazić, że wyrzucają nas na spadochronach gdzieś na tyłach nieprzyjaciela. Żołnierz pozostawiony jest sam sobie. Ruchliwość i brawura, spryt, wiedza i samodzielność, a przede wszystkim poczucie obowiązku i honoru rozstrzygają wyłącznie o wykonaniu zadania. Toż to właśnie nasze stare, kawaleryjskie cnoty."

* * *

Karabin maszynowy szczeka krótkimi seriami. Słychać wyraźnie charakterystyczny, podwójny klekot odpaleń i pocisków bijących w tarcze. Wyplątali się z drutu, przeszli płot, oddali błyskawicznie strzały w biegu i są już na zydlach zniszczonego mostu. Jedna chwila—nie wiadomo: zawahania, czy odbicia się—i skaczą w dół z trzech metrów, przez strumień, na ścianę przeciwległego urwiską. Jeden obsunął się i pławi do połowy w wodzie. Idą w ruch ładunki minerskie. Z wybuchami lecą w górę kawałki żelastwa, kolczastego drutu i drzewa. Dobra saperska robota.

—"Jest to zwykłe przeszkolenie szturmowe, które każdy z nas przechodzi—mówi podporucznik K., kończąc szkic ołówkowy, przeznaczony na organizowaną właśnie wystawę plastyków.—Jestem od początku w tej Brygadzie, jeszcze wtedy, kiedy organizowała się we Francji koło Parthenay jako 4 Dywizja, kiedy poźniej ładowała się w La Rochelle i kiedy tutaj była kanadyjską i 4 Kadrową.

Wiesz, co znaczy "kadrowa": oficer, który w Polsce dowodził kompanią, a nieraz i batalionem, stojący z karabinem na warcie i liczący zdechłe ryby, wyrzucane przypływem morza na nadbrzeżną plażę. Wiadomo: zdrowa żołnierska powinność, ale *porridge* też jest zdrowy, byle nie na codzień i nie na długo. Mimo to nie stała się nam gorzką, codzienną polewką—wprost przeciwnie, rozumiemy ją co raz lepiej i znamy swój cel. My piechurzy odnajdujemy z powrotem swoje wartości w działaniach spadochronowych i cenimy znowu siebie tak samo, jak się cenią pancerniacy i lotnicy."

—"*Vous avez raison, mon lieutenant*—wtrąca się do rozmowy młody, wysoki strzelec z przetrąconym nosem, przyglądający się dotychczas ciekawie pracy podporucznika K.—Na początku ja myślał, że we Francji trzeba było wrócić do domu, a nie ewakuować się. Rodzice moi do tej pory mają farmę pod Nantes i są *naturalisés*. Ale mi się widzi tera, że tutaj lepiej."

I jakby zawstydzony tym niespodziewanym dla samego siebie wyznaniem, zaczyna trzeć znak spadającego orła, błyszczący na jego lewej piersi.

* * *

Ćwiczenia skończone. Ma się ku zachodowi. Kwilą mewy, szumi morze i nawołują się ludzie. Z obszaru pól, skacząc po nierównościach wiejskiej drogi, nadjeżdża mały, zielony Austin, brat rodzony naszego łazika. Z auta wysiada dowódca Brygady. Za chwilę słyszymy jego ostry, donośny głos. Oho, widać "właściciel" jest w złym humorze; ktoś mu się "napatoczył" i dostaje sztorcówkę.

Niezauważeni zsuwamy się do parowu i dołączamy do grupy wracających z ćwiczeń. Są zmęczeni, dogadują sobie i całemu światu. Ich ruchy znamionuje pewność ludzi wygimnastykowanych, spojrzenia mają uważne, ręce silnie trzymają broń. Prawdziwie: powietrzni cowboye, ludzie, którym pierwszym dane będzie—jak powiedział Wódz Naczelny—dotrzeć do Polski drogą najkrótszą, ale i najtrudniejszą, bo prowadzi ona tylko do zwycięstwa lub do śmierci.

—'Samo skakanie ze spadochronem nie jest żadnym bohaterstwem; po prostu jest sprawdzianem woli."

Podporucznik-instruktor, z którym rozmawiam, należy do 1 Brygady Spadochronowej, ma Krzyż Walecznych i brytyjski złoty, bojowy znak spadochronowy. Z uśmiechem opowiada, że na widok tego znaczka *Tommies*—rzecz nie do wiary—wstają w knajpach od stolików i prężą się służbiście.

Gawędzimy ze sobą w *polish room* na lotnisku gdzieś w Anglii. Tutaj mieści się jeden z ośrodków szkolenia naszych spadochroniarzy. W pokoju jest gwarno i tłoczno: to grupa kursantów sposobi się do odlotu. Niektórzy nakładają sobie elastyczne nakostniki, inni obsiedli fotele, ławki i stoły, drzemią lub czytają gazety. Reszta śpiewa. Zwykły nastrój podniecenia.

—"Widzi pan—zwierza się dalej instruktor—każdy boi się przed skokiem, nawet ten, co ma ich setkę za sobą"—i dodaje, jakby się tłumaczył:—"Strach jest rzeczą ludzką, tylko panowanie nad nim jest sposobem poznawania żołnierza. Dlatego spadochroniarstwo jest naprawdę szkołą charakterów, a sam skok egzaminem dojrzałości wojskowej. Zna pan anegdotę o Angliku i Francuzie z czasów tamtej wojny . . ."

Hałas zapuszczanego silnika głuszy jego słowa. W otwartych drzwiach stoi mały człowieczek w niebieskim mundurze lotnika:

—"Druga grupa po spadochrorzy."

* * *

—"To frajda, panie, móc poskakać od czasu do czasu. Mam urlop, przyjechałem tutaj, no i widzi pan . . ."

Rzeczywiście widzę: na lewo w oddali morze, na wprost czuby drzew i wierzchołek starej baszty. Pomiędzy nimi a mną przepaść: dwadzieścia metrów z okładem. Stoję na platformie wieży ćwiczebnej do skoków, gdzieś w Szkocji. Nad jej krawędzią, do której zbliżać się nie mam wielkiej ochoty, wydyma się na wietrze spadochron, podwieszony na linie pod długim, żelaznym ramieniem.

Mój rozmówca, porucznik lotnictwa, jest starym wygą powietrznym: nosi złotą gapę z zielonym wieńcem. Właśnie zapina na sobie szelki, siada na obrzeżu pomostu i . . . ginie w dole, przykryty jedwabną czaszą. Jego kolega, który czeka swojej kolejki, został wycofany z linii po wylataniu swojej liczby wpraw i przyszedł tutaj na stałe.

—"My w lotnictwie skaczemy tylko z musu—objaśnia mnie—kiedy wylatamy swoje i idziemy na zieloną trawkę. Spadochroniarstwo zastępuje nam uroki lotu. Morowy sport, prawda?"

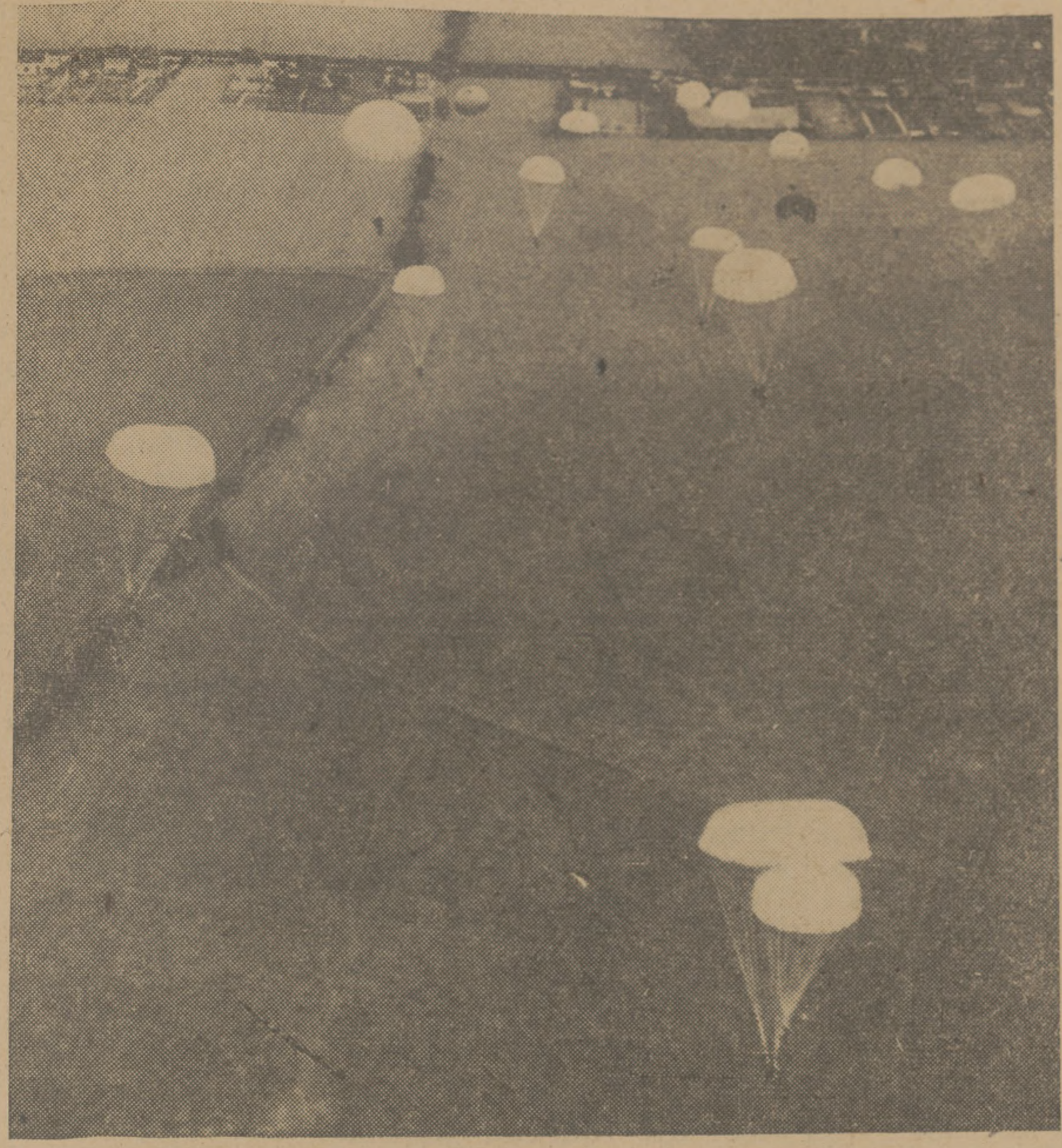
—"Tak, tak, morowy"—powtarzam za nim nieco roztargniony: wieża, mimo solidnej, żelaznej konstrukcji kołysze się niepokojąco na wietrze.

* * *

—"Trochę naciągnąłem ścięgno"—mówi rozcierając nogę.—"Jak się patrzy z boku, wygląda na drobiazg, ale kiedy się biegnie i trzeba decydować się skakać parę metrów w dół przez wodę i kamienie, robi się nieprzyjemnie za pierwszym razem."

Jest rotmistrzem, kawalerzystą jeszcze z Polski; niedawno nosił proporczyk na kołnierzu i ostrogi,—dziś jest żołnierzem Pierwszej Spadochronowej. Idziemy po t.zw. "Małpim Gaju." Stary to, nieco zaniedbany, ale jeszcze ładny park szkocki. Pełno w nim rododendronów i młodych, wesołych ludzi. Ćwiczą na trapezach, bumach, płotach i nawet po drzewach.

WIESŁAW SZPAKOWICZ



U góry:
Skok grupowy

U dołu:
Na chwilę przed lądowaniem



ROZMOWA Z DZIEWCZYNĄ

Dziewczyna

Niepokój w twych oczach świeci,
Skrzydła u ramion ci rosną:
Czuję, że chciałbyś polecieć
Do Polski z najbliższą wiosną.

Spadochroniarz

O tak! gdy krzaki i drzewa
Młodą żywicą nabrzmieją,
Chciałbym strzałami wyśpiewać
Pieśń, przepełnioną nadzieją.

Rozpiąć w błękicie spadochron,
Jak kwiecia świeżego kielich,
Zagonom pachnącym pokłon
Odmierzyć śród brzęków pszczelich.

Przebiegać drogi wilgotne
Zuchwale z wiosną pod rękę,—
Ciosami zemsty stokrotnej
Odpłacać suto za mękę.

Dziewczyna

Płomieniem gniewu i wzgardy
Bucha twa dusza rogata,
Lecz rozkaz żołnierski twardy,—
Może zostaniesz do lata!

Spadochroniarz

Zemstę chwyciłem jak w kleszcze
W okucie woli stalowej.
Zapadnę w chmury złowieszcze
Upalnej nocy lipcowej.

Poznają bracia niezwłocznie,
Kto z burzą do nich przybywa.
Wszędzie się naraz rozpocznie
Godzina krwawego żniwa.

W nagłych eksplozjach i błyskach
Dopełnią się wojny losy;
Zalegną puste ścierniska
Śmierci stalowej pokosy . . .

Dziewczyna

Miesiące płyną jak rzeka;
Gdy minie lato promienne,
Chciałżebyś od nas uciekać
W pochmurne noce jesienne?

Spadochroniarz

Ty nie znasz naszej jesieni,
Złocistej owocem sadów,
Ciepłej od krasnych płomieni
Jarzębin i winogradów.

Choć miną skwarne upały
I liści opadnie gęstwa,
Jest czas, by zerwać dojrzały,
Soczysty owoc zwycięstwa.

Drapieżnie dopaść go w walce
Jednym wyskokiem szalonym,
W żelazne pochwycić palce,
Aż tryśnie sokiem czerwonym.

Dziewczyna

Wybacz uparte pytanie:
Jakoż w powietrzu szybować,
Gdy wpoprzek wędrówki stanie
Chłodna szaruga zimowa?

Spadochroniarz

Polecę. Zima ojczysta
Nie rozpłakana i słotna,
Lecz jasna jest i srebrzysta,
Białością lśniącą zalotna.

Spłyniemy na śnieg jak duchy
Z wezbraną radością w piersi;
Głucho zahuczą wybuchy,
Posępne sygnały śmierci.

Dymów pióropusz niesforny
Opasze ziemię jak szarfa . . .
Spadamy z góry jak orły,—
Jak orły umiemy szarpać!—

MARIAN GILEWICZ

Opowieść rzewna pod dziwnym tytułem:

WŁAŚCIWIE SZKODA, ŻE . . .



KOCHANIE, zapewniam cię, że ja te rzeczy ogromnie lubię, ale powiedz mi, po co nam właściwie to skakanie na mor . . . — przepraszam, na twarz czyli oblicze ludzkie ?

—Ja mam na prawdę skakać? Nonsens. A kto weźmie cię na lody albo do kina, gdy ja sobie rozbiję, hm, głowę?

Powiedzże mi nareszcie, kobieto, po co ci te emocje? Może ich masz za mało na ziemi? W takim razie zabiorę cię na kolację do "dziurki" na Zamarstynowie. Ja naprawdę wolę widzieć cię chodzącą po ludzku, po ziemi.

—Mówisz, że to cisza cudowna, że wielkość . . . Że wicher w uszach wyje opętany, ale na dole świat spokojny i filigranowy jak filiżanka chińska? Że tam, w górze jesteś światem sama dla siebie, że w błękitnych przestworzach znajdujesz na moment ucieczkę od życia, które bywa często puste, złe i hałaśliwe? . . .

—Mówisz, że pragniesz, abym był z tobą sam, niepodzielnie . . . , że tam, w sercu niebieskiej tajemnicy złączymy się z sobą na zawsze?

Może masz rację . . .

Skoczyliśmy razem. Zgodnie spłynęliśmy w błękitno—zieloną przestrzeń.

. . . 121 . . . , 122 . . . , 123 . . .

Rwę rączkę spadochronu. Szarpnięcie! Nagle zawisam w przestrzeni. Spadam w inny świat, inne przestrzenie. Pod sobą widzę bielutką czaszę drugiego spadochronu i dalekie kontury lasów, białe wstążki dróg i srebrno-sine rzeczułki i rowy.

—Jestem niedaleko od ciebie—wołam do swej towarzyszki.

Nie ma odpowiedzi, więc powtarzam głośno:

—Ada!

—Zbyszku!

Lądujemy. Jestem jeszcze "nieziemski." Zgasiłem czaszę i siedze sobie zapięty w szelkach na miękkiej, puszystej trawie.

—Obudź się—krzyczy Ada—i daj pyska. To już ziemia, bądź "ziemski" . . .

Morowa dziewczyna, ta Ada. Owszem, stałem się zaraz ziemski. Ale już wujek Michał zajeżdżał swym staroświeckim Buickiem i wołał:

—Jazda, dzieci! Mama czeka z podwieczorkiem!

Poczciwy Buick tłucze się zakurzoną polną drogą ku dworkowi, bielejącemu śród zieleni drzew. "Brama nawściąż otwarta przechodniom ogłasza, że gościnna . . ."

Mama /nie moja, lecz Ady/ przygotowała mi moje ulubione konfitury. Właściwie to Ada je robiła . . . Dokoła w pokoju obrazy: pole ze smutnym pastuszkiem, melancholijne jary podolskie, zarośla bodiaków wiatrem targane . . . Twórca obrazów?—Ada.

Ale gdzież jest Ada? Mama mówi, że poszła do młyna wydać zarządzenia dla skupu zbóż do przemiału. Idę pomóc Adzie. Właśnie od godziny jest moją narzeczoną.

Przez otwarte drzwi widzę przeciwległy dom. Taki sobie pospolity czerwony budynek.

—*Will you have a cup of tea? You look strange to-day, dear Sbeegnieff!* . . .

Really,—rzeczywiście. Bardzo czytelników przepraszam. To, co napisałem, wcale nie jest prawdą, a właściwie jest . . . ale tylko częściowo.

Ada jest w istocie moją narzeczoną, cudną, lnianowłosą, malutką istotą, zostawioną gdzieś daleko w Polsce. Ada nie skacze ze spadochronem. Nigdy nie skakała. To był mój sen w czasie przerwy między skokami "gdzieś w Anglii." Stary Buick wuja Michała—to po prostu autobus służbowy R.A.F. Wujcio Miś—to nasz instruktor. Mama? . . . to chyba nasza gospodyni. Na stole jest jam. Nie wiem, kto go robił, i nie będę o to pytał. Jestem głodny. Młyn? . . . Nie, nie ma młyna. To bardzo śmieszne,—to szumi woda, gotowana w elektrycznym garnku . . .

Aha, prawda: w tytule są trzy kropki. Zaraz dokończę zdania:

— . . . że . . . że tego na prawdę nie było.

STANISŁAW FIJALSKI

WE WŁASNYM KOLE

ABY czegoś dokonać, bez względu na to, czy chodzi o rzecz wielką czy małą, ważną lub mniej ważną, trzeba chcieć i umieć to zrobić. Wiadomo, że jeśli zabraknie chcenia, zabraknie również i czynu. Z drugiej strony sama wona nie wystarczy. Żołnierz o najlepszych intencjach nie będzie dobrym żołnierzem, jeśli bić się nie umie. Oto podstawowe zasady życia żołnierskiego: chcieć walczyć i umieć walczyć.

Jak rozwiazują tę sprawę spadochroniarze? Warunki, w których wypadnie im stawać do walki są tak bardzo różne od tych, z którymi mają do czynienia inne rodzaje wojska. Mały oddział, np. drużyna, w zwykłych warunkach niknie w masie ogólnej, obok niego bowiem bierze udział w akcji wielka liczba jednostek podobnych. Tymczasem jedna drużyna spadochronowa, rzucona np. gdzieś głęboko poza linie nieprzyjaciela z takim czy innym zadaniem, może wykonać samodzielnie pracę, od której wyniku zależy powodzenie działań ogólnych, zakrojonych na szeroką skalę.

Nie jest to jednak oczywiście robota łatwa—nieliczna grupka, ba, nawet czasem pojedyńczy żołnierz mieć będą przeciw sobie olbrzymie siły, które sprzysięgną się na to, aby im przeszkodzić. Szturmowiec znajdzie się nieraz wskutek tego w sytuacji trudnej, niebezpiecznej, a zarazem niezmiernie odpowiedzialnej, która zmusi go do wykazania w pełni wartości duchowych.

Zanim ktoś decyduje się na taką pracę, musi jej pragnąć, musi cenić urok ryzyka. Musi to więc być natura, podobna do turysty sportowca, który dla osobistej satyfakcji, jaką daje walka z żywiołami natury, pokonywa trudy i niebezpieczeństwa karkołomnych spinaczek.

To jedna strona naszego życia. Jednak najlepsze chęci okażą się bezowocne, jeśli spadochroniarz nie zdobędzie niezbędnych umiejętności: jeśli nie potrafi obchodzić się właściwie z materiałem wybuchowym dla zniszczenia wskazanego obiektu; jeśli nie jest wdrożony do pełnego wyzyskiwania momentu zaskoczenia, który stanowi jego najpotężniejszy atut; jeśli nie umie użyć broni, którą otrzymuje do swoj dyspozycji; jeśli nie wykazuje należytej sprawności mięści, która zabezpiecza go od wypadków przy skokach. Wyliczamy tylko niektóre z tych niezbędnych umiejętności. Jest ich nierównie więcej.

Wartość każdego człowieka mierzy się najlepiej jego postępowaniem w sytuacjach trudnych. Nie sztuka być mocnym, gdy wszystko idzie gładko; łatwo być bohaterem wobec słabszego przeciwnika; każdy umie się zdobyć na pogodę i humor, gdy rzeczy układają się tak, jak się przewidywało. Natomiast szlachetna ambicja każe być mocnym, gdy jest ciężko, gdy na drodze piętrzą się wielkie przeszkody, przewidziane lub nieprzewidziane; okazywać pogodę ducha i nastawienie sportowe, chociaż sprawy idą nie po naszej myśli; uparcie i bezkompromisowo iść do celu, choćby opory nieustannie wzrastały.

Wielkie rzeczy nie przychodzą łatwo. Właśnie sumą włożonego trudu mierzy się prawdziwa wartość osiągniętych wyników. W naszej robocie spadochronowej są czynniki podniecające, ożywione duchem ryzyka, sportowego wysiłku i pięknej, szlachetnej rywalizacji. Obok nich jednak zjawiskiem nieuniknionym są trudy codzienne, często podobne do siebie jak dwie krople wody, dni wypełnione twardą służba żołnierską.

Przeżywamy okresy przygotowania do akcji, która nas pociąga i w którą wierzymy. Wiemy jednak, że od drobiazgowego opracowania szczegółów, od naszej systematyczności zależą wyniki końcowe.

STANISŁAW JACEK



"MAGAZYN TOWARÓW ŁOKCIOWYCH"



POMYŚLNY lot maszyny jest w dużej mierze zasługą mechanika. Pomyślny lot skoczka w znacznej części przypisać należy na dobro składacza. Kto o nim słyszał? Kto choć drobną wzmianką wynagrodził mu trud żmudnej i wyczerpującej pracy? A przecież piękne kolorowe kwiaty spadochronów—to nie płatki róż. Trzeba rozwinięty spadochron złożyć do powtórnego użycia.

Niejednokrotnie się zdarza, że skoki odbywają się podczas deszczu. Spadochron, wleczony po mokrej trawie, wygląda żałośnie i wymaga starannej kuracji odmładzającej. Złożony zaraz po skoku "polowo", wędruje do magazynu—suszarni. Biały sufit wysokiej sali przecinają ciemne linie drewnianych poprzeczek, w których tkwią haki. Na hakach rozwieszone są spadochrony.

Wchodzę. Po raz pierwszy w życiu mam się zetknąć ze spadochronem naprawdę, nie "na niby." Od żółtych płacht pada pastelowy refleks na pobladłe twarze. Uprzejma R.A.Fistka uśmiecha się życzliwie z poza stołu. Patrzę na jej policzki i oczy. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że są ładne. Typowe anglosaskie oczy—niby ciemne, a przecież jasne w spojrzeniu—niewinne oczy dziecka, które umieją tak przenikliwie zaglądać w nasze słowiańskie serca . . .

Ale przepraszam za dygresję. Na stół wędruje właśnie góra żołtego jedwabiu. Patrzę na to bogactwo i czuję się przez chwilę, jak w sklepie materiałów bławatnych. Nieśmiało proszę, aby ów towar łokciowy był dla mnie w lepszym gatunku. Rafistka nie przestaje się uśmiechać. Jednocześnie podsuwa mi książkę, w której mam pokwitować odbiór. Chciałbym pozostać jeszcze chwilę. Przesuwam chłodną, ciężką tkaninę przez palce. Piękna. Mimo woli nasuwa się myśl: "Co by to była za bielizna!"

Spoglądam poza siebie i spotykam spojrzenie Staszka. I on również pieści swoje atłasy. Kciukiem i palcem wskazującym "rozciera" z ukontentowaniem drobne fałdy i naraz poczyna się uśmiechać. Jest to uśmiech, za który sąd w pierwszej instancji skazuje na karę dwumiesięcznego więzienia za . . . obrazę moralności. Rozumiem. O damskim przedmiocie jego robaczywych myśli napisał kiedyś Makuszyński, że może być barchanowy, jedwabny /właśnie!/, lecz zawsze parzysty.

Rafistka opuszcza firanki rzęs. Buzia nabiera dąsu. *Cheerio!*—pada jak upomnienie. Żegnam ją uśmiechem i wychodzę bez żalu. Przecież wrócę tu niebawem.

Poprzez hangar i kilka korytarzy wędruję ze spadochronem do składaczy. Długa hala i kilka rzędów równie długich stołów. Wśród nich uwijają się podoficerowie R.A.F.u. Dostrzegli mnie. Dostaję się pod opiekę długiego blondyna.

Good morning! Spadrochron znajduje się wnet na stole. Dopiero teraz zaczynam dostrzegać w pełni jego rozmiary. Sama tkanina, tak zwana czasza, podzielona jest na dwadzieścia osiem podłużnych pasów. Odpowiada im taka sama liczba ośmiometrowych linek. Każdy z pasów dzieli się na dalsze trzy części. Ewentualne uszkodzenie, np. rozdarcie, nastąpić może zatem na niewielkiej przestrzeni. Obramowanie dolne /obrzeże/ jest również wzmocnione.

Po ułożeniu i sprawdzeniu linek oraz zamocowaniu ich w górnej części czaszy na specjalnym haku następuje sprawdzanie fałd i układanie. Zwinne palce przerzucają je uważnie; wzrok pilnie obiega całą powierzchnię. W międzyczasie składacz bawi mię rozmową. Oczywiście zaczyna *about this country* (*do you like it*?), pyta o wrażenia; jest w miarę dowcipny, w miarę *sarcastic,* a przede wszystkim *fair.* Wszystko to nie przeszkadza mu wygwizdywać popularnych rewiowych przeboi.

Pamiętam, że mam "doglądać." Tym razem polecenie wykonam najuczciwiej. Tylko czego właściwie mam doglądać?.

Spadochron, wyciągnięty na całą długość, gotów jest wreszcie do składania. Rozmowa nasza schodzi na tory fachowej pogawędki. Z tym wszystkim dręczyć mię zaczyna myśl, że może "facet" coś przeoczył. Zadaję nieśmiało pytanie: "Czy tego, czy w ogóle, czy—jakby to powiedzieć—czy nie było kiedykolwiek wypadku?" Składacz uśmiecha się: "*Certainly not. Never!*" Po czym prosi o sznurek. Rozglądam się, a tymczasem kłębek szpagatu, rzucony z drugiego końca sali, zafurczał mi nad głową. Jeszcze dwa węzły, jeszcze dwa sznurki. Makaron linek posłusznie zmniejsza się w drobne spirale. Każde ich zagięcie ujęte jest w odpowiednie zamocowanie.

Pozostaje "przymiarka." A więc szelki nośne. Z nich właśnie wytryskują cienkie strugi linek podczas lotu. Dopasowuje jak najdokładniej. Zakładam szelkę siedzeniową, która stanowi w locie wygodny fotel. Wsuwam ją popod kolana, zginam się, podnoszę ręce. *All right!* Szelki piersiowe, udowe, zamek. Uderzam dłonią z lekka i przekręcam. *O.K.* Całość działa jak najsprawniej.

Ze czcią niekłamaną patrzę teraz na zgrabny plecak. Na tylnej klapie składacz maluje kredą numer. Wzdycham nabożnie: "Od trzynastki feralnej uchowaj mię, Panie!" Na szczęście nie ma obawy. Numer jest z serii dobrze ponad tysiąc. Dla bezpieczeństwa sprawdzam sumę cyfr. Wygrałem! Osiem nigdy nie było równe trzynastu.

Żegnam mego składacza. Towarzyszy mi uśmiech i sakramentalne "*good luck.*" Obiecuję, że przyjdę następnym razem.

Los jednak chciał inaczej. Następnym bowiem razem "mój" składacz był zajęty. Nie mogłem tracić czasu na czekanie. Tym razem składacz był małomówny i wyraźnie się . . . śpieszył. Tylko tego brakowało! A nuż nie dopatrzy, nie zamocuje jakiegoś sznurka? Nie upłynęło dziesięć minut—i byłem już po przymiarce. Zrobiło mi się niewyraźnie. Przecież zeszłym razem składanie trwało całe pół godziny! Wziąłem spadochron, lecz w głębi czuję, że niosę trumnę, że jestem jak paratrup tknięty paratyfusem.

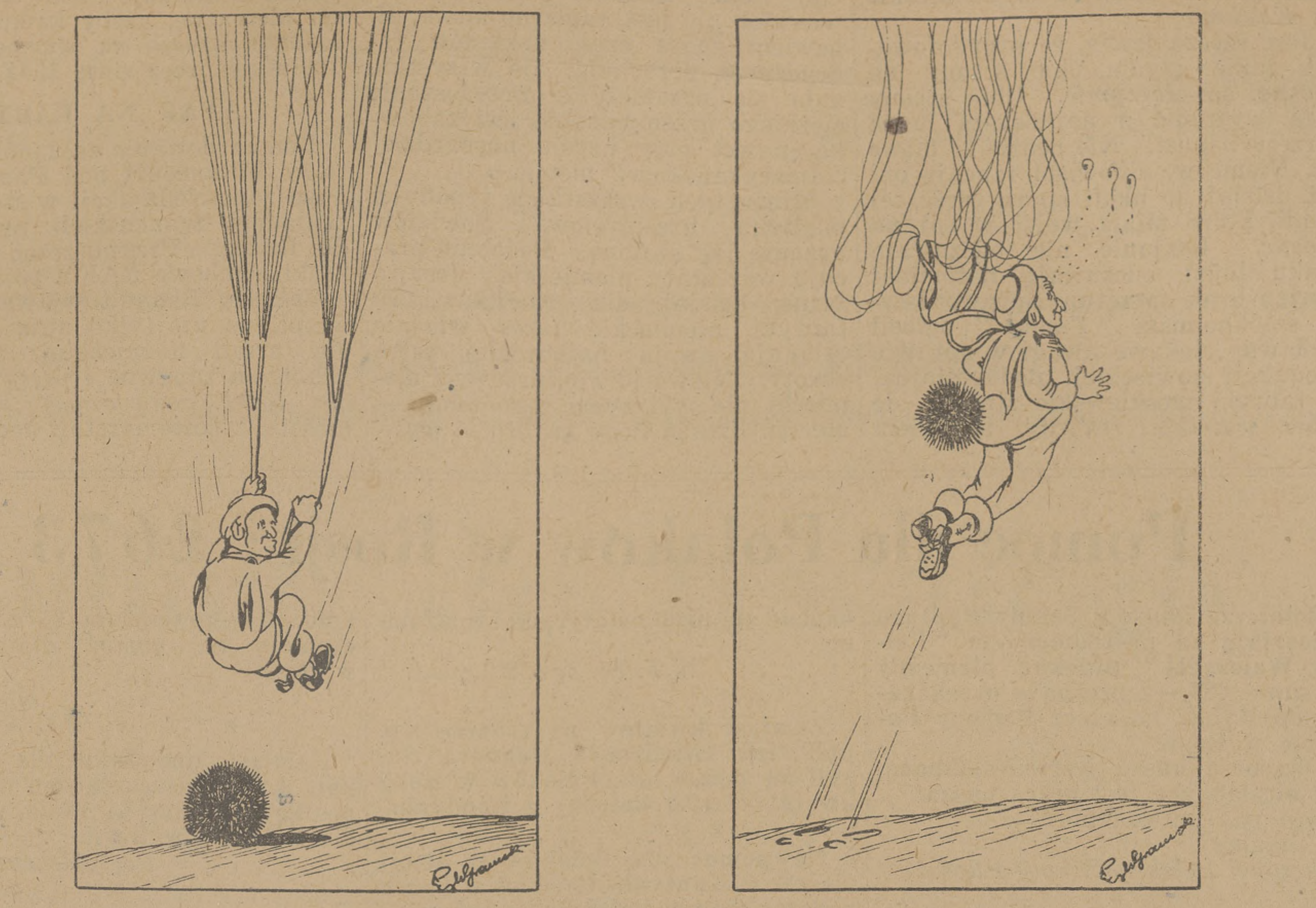
Po drodze spotykam Staszka. Mdławy uśmiech.—"No i cóż, jak się czujesz?"—"Dziękuje, lepiej."—"Jak to?"—"Lepiej nie mówić."—A ta bestia jak na złość:—"Wiesz, składał mi całe czterdzieści minut, ale widać, że to chłop staranny. To ten, co tobie wczoraj składał."

Zrozumiałem całą złośliwość losu. Trudno—muszę zginąć.

Nie zginąłem. Chowam się i popełniłem niniejsze wyznanie—

TADEUSZ ROJEWSKI

MIGAWKI ZE SKOKÓW



WACŁAW GRAMSKI: *Jeż i spadochroniarz*

WŚRÓD skoczków spadochronowych wyróżnić można kilka typów.

. . . Nienaturalnie rozmowny, śmiejący się twarzą /nie w sercu/, usiłujący pokryć zdenerwowanie. Opowiada dowcipy, z których nie wiadomo, kiedy się śmiać. Serdeczny i usłużny dla wszystkich.

. . . Milczący jak niemowa, chociaż niedawno w pociągu, w "Małpim Gaju" nie dopuszczał nikogo do głosu. Nieufny, otrożny, o nieco przytępionym słuchu. Może nie dosłyszeć rozkazu—lepiej mu go powtórzyć.

. . . Blady, o niespokojnych ruchach. Niekiedy po cichu poprosi instruktora, by bliżej usiadł i pomógł moralnie przy wyskoku. /"Moralnie" instruktorzy przygotowani są znakomicie,—przechodzą specjalne lekcje dżudżitsu i boksu . . . /

Przeważa jednak typ normalny, zrównoważony, lekko podniecony niezwykłością przeżyć, ale zarazem opanowany i przytomny.

* * *

Lotnicy są wspaniali, wszyscy ich podziwiają. Gwarantują swym skaczącym pasażerom bezpieczeństwo i dotrzymują słowa w sposób niezawodny. Nigdy nikomu nie stało się nic złego w powietrzu. Zeskok na ziemię—to już nie lotnicza sprawa, to zmartwienie spadochroniarzy.

—"Poczciwa krowa"—*Whitley* służy doskonale. Mówią jednak po cichu, że powstają całe eskadry lotnicze *Parachute Command* z sensacyjnymi ulepszeniami. Najciekawsze jest to, że z takich komfortowych samolotów nie trzeba w ogóle skakać: wsiadasz, zjeżdżasz po pochylni, coś tam gdzieś się naciska i już lecisz w dół ze spadochronem. Dziury w ogóle nie ma, siedzi się w wygodnych fotelach . . . słowem, luksus. Może to tylko dla nerwowych . . . , zobaczymy.

* * *

—Kolego uważajcie więcej na siebie. Pozwólcie uprzejmie, że wam sprawdzę szelki. Ostrożnie z głową, a przy lądowaniu skaczcie koniecznie równo na obie nogi.

Tak, przyjaźń jest rzeczą piękną.

Po południu sytuacja się wyjaśniła. Skaczący winien był swemu opiekunowi całe 5 funtów.

* * *

—Kolego, zobaczcie, czy zapięcie prawidłowe. Wiecie, że skakanie bez przypiętego spadochronu surowo wzbronione. Jako były prawnik miałem zawsze szacunek dla przepisów . . .

—Panie instruktorze, czy to napewno mój spadochron?

Instruktor zapewnia, że wszystko w porządku. Jest uprzejmy i towarzyski, więc po chwili dodaje:

—Widziałem pana na ostatnim filmie. Jak się panu podobał?

Też wybrał pole do konwersacji, co za sympatyczny typ. Właśnie w głowie mi teraz kino.

—Dziwię się, że kolega nieogolony. Wiecie, że broda stawia opór w powietrzu i może wywołać wirowanie. Poza tym nieboszczyka niewygodnie golić . . .

—Trzeba spojrzeć przez dziurę . . . Boże, jak wysoko! Co to, cmentarz? Psiakrew, aktualny krajobraz. Jezioro też wcale, wcale zachęcające.

* * *

Zbiórka skoczków, którzy świeżo dotknęli ziemi. W oczach ożywienie, słowa płyną obficie i gładko.

—To bajka, takie sportowe skakanie!

—To prawdziwa przyjemność!

—No, znowu nic takiego nadzwyczajnego. Wchodzisz do samolotu, oczywiście ze spadochronem na plecach; wypadasz przez dziurę, lecisz z początku szybko a potem powoli, lądujesz,—i na tym koniec.

Do rozmowy wtrąca się instruktor.

—Proszę panów, po południu odbędzie się nowa seria skoków. Przyjmujemy zgłoszenia.

Milczenie. Po chwili ktoś bąknął:

—Słyszałem od lekarza, że skok spadochronowy wymaga tego samego wysiłku, co 8 godzin pracy fizycznej . . .

—Przesada, ale trochę zmęczenia w kościach zostaje . . .

—Skok ma wprawdzie wiele wspólnego z zającem, ale różni się w sposób zasadniczy tym, że nie ucieknie. Poco się właściwie śpieszyć?

Dyskusja przeszła na inny temat.

* * *

—Największą tremę miałem przy czwartym skoku. Po wyskoczeniu z dziury poczułem gwałtowne szarpnięcie i . . . raptem wydało mi się, że papierosy, które zabrałem ze sobą, wypadły mi z kieszeni . . . Dwadzieścia *Woodbine'ów*—to nie fraszka.

Szybko przesunąłem ręką po kieszeni. Wszystko w porządku, pudełko na właściwym miejscu. Emocja minęła.

GEM

"MAŁPI GAJ"

ZACZĘŁO się tajemniczo, jak wszystko w wojsku. Do wspaniałego parku, pamiętającego setki lat, zjeżdżały od samego rana auta ciężarowe, zwożąc belki i deski. Już po paru godzinach zabrzmiał huk siekier, aż echo dudniło w pobliskim miasteczku.

Czuliśmy wszyscy, że dzieje się coś niezwykłego. Wszystkie znaki na ziemi i niebie zwiastowały jakieś ważne wydarzenia. Przyleciał Jędrek, który musiał coś wiedzieć: jednemu szepnął słów kilka, do drugiego uśmiechnął się znacząco. Plotka rosła i potężniała. Mówiono o beczkach bez dna, stajni z wielką dziurą w pułapie. Wkońcu ktoś (zdaje się, że Lipa) orzekł, że w parku będzie albo gorzelnia, albo Lunapark, albo obserwatorium przeciwlotnicze /właśnie w radiu mówiono wiele o jakimś nowym wynalazku—*radiolocation*."/ Nikt jednak Lipie nie wierzył.

Wreszcie bomba pękła. Mamy się stać "paraszutami." Właśnie w tym parku, który nas tak intrygował, zaczynamy trening.

Szybko podzielono nas na grupy. Zaczęła się gimnastyka,—ale jaka! Marsz, biegi, skoki, zwisy, skręty, potem znów biegi; mnóstwo przysiadów, przy których Stefanowi portki trzasły. Wreszcie Ludek z uroczystą miną oznajmił, że "owszem, robimy wszystko niezgorzej i wobec tego pójdziemy na przyrządy".

Szliśmy do szopy, w której miały być sławetne beczki. Okazało się, że niesłusznie podejrzewaliśmy Jędrka o blagę. Dziura w suficie jest, a w niej tkwi istotnie beczka bez dna. Znalazł się ekspert, który wyjaśnił, że to jest miara na paraszuta, nikt bowiem nie może być za gruby, inaczej mógłby zakorkować dziurę w samolocie i cały desant na nic. Baliśmy się trochę o Ignasia, czy przejdzie, ale jakoś wszyscy skoczyli, tylko Dyngusa, gdy szedł do miary, łaskotki z wrażenia opadły.

Potem kazano nam chodzić po poręczy,—niby dla równowagi. Wicek klął z oburzenia:

— O, pierona, to ja po pijanemu coś takiego przejdę, a oni mi każą w biały dzień na trzeźwo takie sztuki odstawiać! Rzeczywiście przeszedł najlepiej ze wszystkich.

Po próbie "na grubość" zaczęły się inne. Ignaś rzucił się jak tygrys na wysoką ścianę z desek; rąbnął o nią całą powierzchnią swej okrągłej osoby, podciągnął się na rękach, fiknął nogami w górze—i już był na drugiej stronie. Narzekał trochę na "śródstopie", ale wkrótce przestał.

Spoglądamy na swych sąsiadów. Jakaś chuda postać wspina się po linie na drzewo, wydając głośne sapanie; po chwili ujrzeliśmy ją wysoko nad naszymi głowami, szczerzącą triumfalnie zęby niczym Tarzan. Pycha ta zdenerwowała Stasia, który zawołał:

— Małpa Jerzy, złaź na ziemię!

Nie wiedzieliśmy wówczas, jaką wagę historyczną miał ten okrzyk. Od tej bowiem chwili park nasz ochrzczono "Małpim Gajem" i nawet Szkoci nie nazywają go inaczej, jak "*Monkey Grove*".

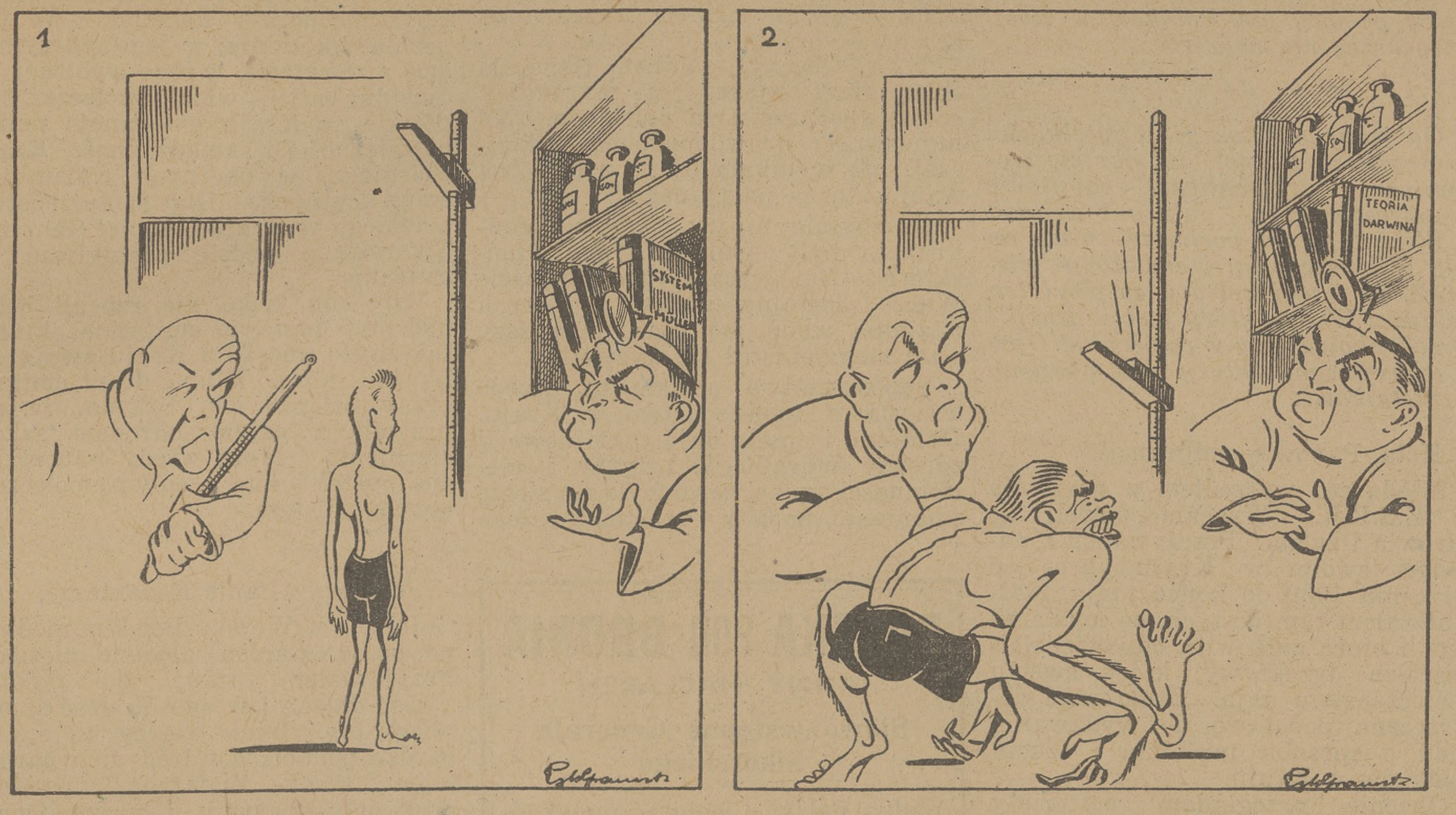
Po kilku dniach wszystko biegło gładko, jak szylingi z kieszeni. Z przyjemnością huśtaliśmy się na wysoko zawieszonych trapezach, lecz koniec bywał nieraz żałosny: zdradziecko opuszczony przyrząd sprawiał, że zetknięcie się z ziemią stawało się pieszczotą nazbyt już ognistą. Przyszły skoczek podnosił sie ociężale, klął, na czym świat stoi, a wieczorem grał w bridge'a na stojąco.

Nadszedł wreszcie "*black Friday*". Wszystko odbyło się jak na giełdzie—najpierw do góry, a potem na zbity łeb w dół. Owinęli nas w szelki jak niemowlęta i marsz na siódme piętro po żelaznych schodach. Owszem, widok był ładny, niejednemu przypomniał warszawskie balkony. Wicher dmie, aż wieża się kołysze. Przypinają cię do spadochronu—ot, taki sobie parasol dla wielkoluda,—i wal, bracie, w dół. Brrr. . .

Skoczył pierwszy,—i już śmieje się do nas z ziemi. Łatwo mu, gdy już wylądował. Antoś długo nosem kręcił, ale niebawem dodano mu ochoty. Wiadomo, że dla dobrej repety wyrzekłby się uśmiechu najbardziej rudej Szkotki. Ktoś pokazał mu z dołu kotlet,—i chłopak skoczył jak lala.

Nazajutrz jechaliśmy na prawdziwe skoki.

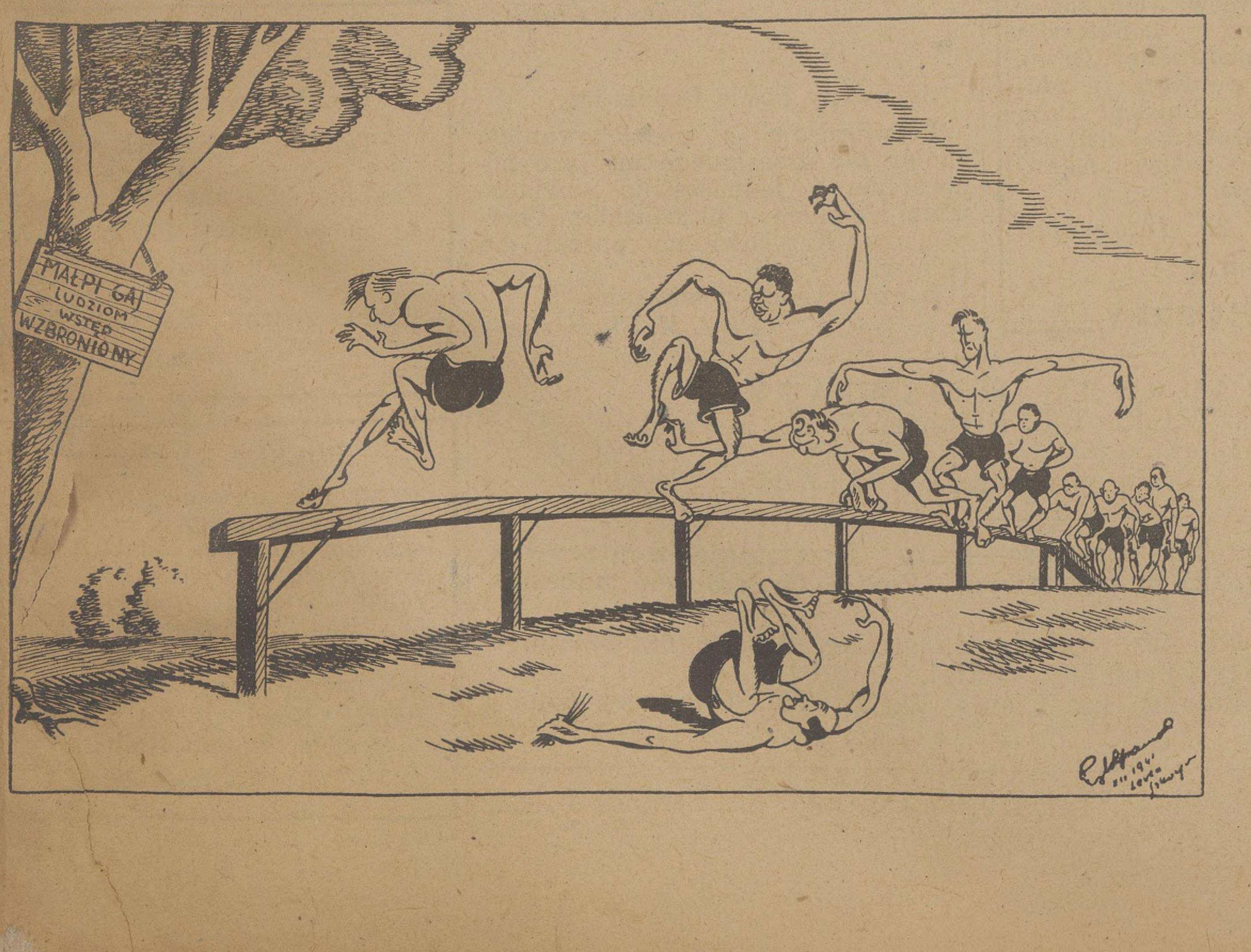
WIESŁAW SUROŻ



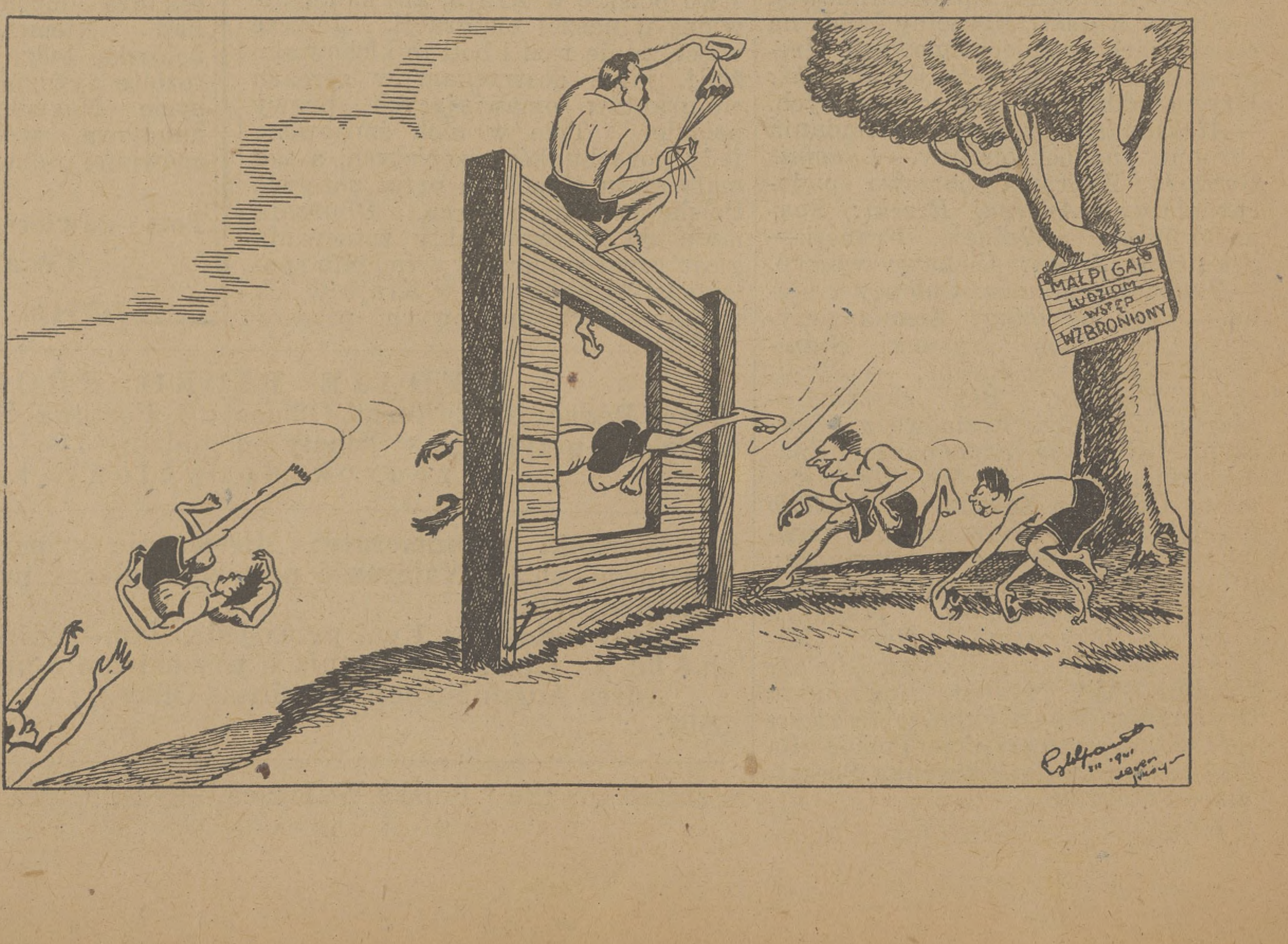
Badanie lekarskie przed i po Małpim Gaju

rysunki *WACŁAWA GRAMSKIEGO*

Kładka



Okno



TRAGEDIA JAWY

Holenderska ajencja prasowa nadała przed ostatecznym atakiem japońskim na Bandoeng i odcięciem od świata Indyj Holenderskich, obszerną depeszę, która przedstawiała obraz sytuacji i powody "tragedii Jawy." Jest to depesza *wysoce pouczająca*, która świadczy, że upadek Jawy nie był bynajmniej koniecznością, że *można* ją było utrzymać, gdyby po prostu pomyślano o wszystkim na czas. Upadek Jawy jest niewątpliwie znakiem, *że zmiany muszą nastąpić wszędzie: w sposobie myślenia strategicznego, w komendzie, w duchu narodów, które wywiesiły na swoim sztandarze dumne hasło walki o wolność.*

Jawa upadła przez to, co doskonały dziennikarz angielski John Gordon, redaktor "*Sunday Express*," nazywa "*mass paralysis*," masowym paraliżem. John Gordon *ma prawo* krytykować dzisiaj. Pamiętamy jego doskonałe artykuły w dobie upadku Francji, kiedy wskazywał na niebezpieczeństwo ducha defensywy, kiedy wołał o największy wysiłek i dowodził, że potęga niemiecka rozkręci się niebezpiecznie. On też w dobie pierwszego uderzenia na Libię ostrzegał przed łatwym optymizmem i podkreślał jak doniosłe jest pochwycenie całej Afryki.

Dzisiaj ten sam śmiały pisarz chłoszcze co tygodnia sposoby i ducha, jaki dalej przejawia niepokojąco swoje działanie. Wzywa do ataku, ostrzega przed dalszym *brnięciem w stare błędy.*

Na tle "tragedii Jawy," jak to słusznie określiła holenderska ajencja prasowa, te wszystkie ostrzeżenia nabierają jeszcze większej niejako wypukłości. Albowiem musimy sobie powiedzieć jasno, że nie jest prawdą, jakoby *nikt nie przewidywał* takiego rozpalenia się wojny, żeby to co się dzieje było niespodzianką dla wszystkich. Nie, jest w tym kraju i w Stanach Zjd. wielu pisarzy, ludzi pióra, którzy mogą udowodnić swoimi artykułami i szkicami, że przewidywali wszystko lepiej, niż rozliczni stratedzy tej wojny. Zbyt wielu ludzi w tej wojnie zna *elementy strategii*, ażeby można im byle co wmówić. Zbyt wiele osób cywilnych przeszło *wojnę lotniczą*, ażeby dali oni zwieść się gołosłownymi zapewnieniami.

O DUCHA ATAKU

O ducha ataku wołają dzisiaj w Anglii i Ameryce ci wszyscy, którzy wiedzą, że *nie ma nic gorszego nad okres spokoju i zastoju, poczucie względnego bezpieczeństwa i wojna szalejąca niejako na peryferiach.* To, że Anglia nie cierpi obecnie od bomb i że ciężar walki przeniósł się na rubieże Europy i Azji, ma oczywiście swoje złe strony: sprawia, że wojna staje się mniej oczywista, mniej bliska, mniej niejako *realna*.

Nic więc dziwnego, że nawołuje się w Anglii do obudzenia się "*ducha Dunkierki,*" a odpowiedzialna prasa amerykańska woła "*Ameryko zbudź się . . . jest późno.*" Istotnie, obudzenie się ducha walki, inicjatywy, ochoty, ducha jasnego widzenia rzeczy, pogardliwego odrzucenia wszelkich *wygodnych bajeczek*, oto początek akcji, która ma nam przynieść zwycięstwo.

W PRZEDEDNIU UDERZENIA WIOSENNEGO

Na froncie wschodnim armie sowieckie starają się posunąć jak najdalej. Sukcesy sowieckie na południu nie są na wielką skalę, a południe jest dla Rosji niewątpliwie

SPIS RZECZY

Szkic sytuacyjny

najważniejsze: trzeba zniszczyć za wszelką cenę odskocznie niemieckie *na Kaukaz.*

Jest rzeczą jasną, że przygotowania jakie czynią obie strony na wiosnę, są *olbrzymie*. Obie strony chcą wystąpić z największą masą sprzętu i ludzi. Nie będzie to łatwe dla Niemców, albowiem rzucają oni już dzisiaj do akcji sporą część tej armii, która miała wejść w bój *na wiosnę*. Rosjanie nie odczuwają braku ludzi, odczuwają natomiast pewien brak sprzętu. Sprawozdawca sztokholmski "*Timesa*" ogłosił niedawno ciekawe uwagi w sprawie produkcji sowieckiej, podkreślając, że fabryki moskiewskie starają się pobić *wszelkie rekordy*, albowiem wiedzą, że trzeba wypełnić najszybciej luki. Zadanie zakładów sowieckich nie jest napewno łatwe, albowiem spora część zakładów fabrycznych przepadła, nie wszystkie dało się przenieść a przenoszenie ciężkiego przemysłu nie jest zabawką, nawet przy użyciu najbardziej "amerykańskich" metod.

Mimo tych wszystkich trudności maszyna przemysłowa Sowietów pracuje jak szalona. Podobnie pracują warsztaty niemieckie. Jest to jasne dzisiaj dla Anglików, że fabryki niemieckie *teraz właśnie* osiągają swoje najbardziej ostre obroty. Niewątpliwie, przemysł niemiecki nie wytrzyma tego tempa—ale też Rzesza liczy na *krótki wysiłek*. Cała rzecz w tym, ażeby i tym razem kalkulacje niemieckie okazały się nietrafne, ażeby kampania jaką rozpęta Rzesza na wiosnę, przeciągnęła się przez zimę 1942/43.

ATAK NA PARYŻ

Bombardowanie zakładów Renaulta w Billancourt pod Paryżem stanowi zapowiedź akcji w stosunku do zakładów francuskich pracujących dla Rzeszy. Przypuszczać należy, że ataki bombowe RAF'u *powtórzą się.*

Zakłady Renault wytwarzały niewątpliwie nie tylko auta ciężarowe dla armii niemieckiej, ale także i czołgi a zapewne i *płyty pancerne dla łodzi podwodnych* albo inne części składowe okrętów podwodnych.

Zniszczenie tych zakładów jest ważnym zadaniem wojskowym—przypuszczać należy, że naloty na obiekty francuskie kierowane będą również *za dnia*, albowiem wówczas szanse niszczenia są większe. Obrona lotnicza tych obiektów nie może być dalej zbyt gwałtowna, daje to zatem wiele szans lotnikom brytyjskim.

Minister lotnictwa W. Brytanii zapowiedział *podjęcie wielkiej akcji lotniczej przeciwko samej Rzeszy.* Oświadczenie to przyszło nieco niespodziewanie, albowiem powszechnie sądzono, że ta wiosna nie będzie oglądała dużych działań powietrznych nad Rzeszą. Przypuszczać trzeba, że oświadczenie to złożone zostało po dokładnym rozważeniu i namyśle i że kierownicze czynniki RAF'u doszły do wniosku, że jednak bombardowanie trzeba podjąć i to w *większym natężeniu*—duże ilości doskonałych maszyn bombowych zdołano już nagromadzić na co raz to liczniejszych lotniskach Anglii—i że dokonać tego trzeba właśnie wtedy, gdy *Rzesza rzuci do akcji swoje lotnictwo przeciwko Związkowi Sowieckiemu.*

Tego rodzaju postanowienie byłoby słuszne i napewno przyklaśnięto by mu w tym kraju. Nie znaczy to oczywiście, ażeby tym samym otworzono "*drugi front.*" Drugi front musi być frontem akcji lądowej, lotnictwo nigdy nie zastąpi tego drugiego frontu. Tutaj trzeba by przynajmniej sporej ilości wypadów *Commandos* i *Airborne Troops*, urządzanie Niemcom łaźni *dzień po dniu* na przestrzeni od Trondhjem do Biarritz, metodycznie, ciągle, bez przerwy. Tego rodzaju wypady jako zjawisko stałe dałyby dopiero Niemcom *przedsmak inwazji* i zaniepokoiły by ludność niemiecką.

PLOTKI INWAZYJNE

Ileż to razy kończyło się szkice plotkami na temat inwazji. Są one zjawiskiem powtarzającym się niemalże co kwartał. Dzisiaj odżywają one na tle nowych rozporządzeń co do zachowania się ludności cywilnej na wypadek inwazji. Również i doświadczenia jakie poczynili Japończycy *na Jawie*, gdzie wysadzili jednak 100.000 wojska i gdzie mieli przeciwko sobie olbrzymi obiekt i blisko 50 milionów mieszkańców—prowadzą wielu angielskich obserwatorów do wniosku, że inwazja nie jest rzeczą niemożliwą.

Odpowiedź na te wszystkie rozważania, zapytania i wątpliwości wydaje się być prosta: *inwazja jest niezwykle złożonym i trudnym zadaniem wojskowym, które można rozwiązać przez opanowanie licznych składników.* Inwazji można próbować, inwazja może się udać—wszystko zależy od tego, jaka jest *kontrakcja*, jakie jest pogotowie, jaka wola walki. W Anglii wie się dzisiaj, że to właśnie decyduje a nie to, że "Hitler nigdy się nie odważy" albo, że "inwazja byłaby szaleństwem."

Wiemy już dzisiaj wszyscy, że *wszystko zależy od nas, od naszej siły woli i obrony, naszej inicjatywy.* Liczenie na to czego *przeciwnik* nie może, czego nie ma i t.d.—jest grą zupełnie fałszywą. Musimy wiedzieć, jaka jest n a s z a siła, jaka jest nasza wola. Musimy też wiedzieć kiedy i jak atakować, a nie czekać. *Duch linii Maginota*, który zgubił Singapore i całe olbrzymie obszary Dalekiego Wschodu, musi przejść do lamusa. Trzeba też po nim *wykadzić.*

Londyn, 8 marca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji : £673

Żołnierze Polskiej Szkoły Pilotażu przesyłają za pośrednictwem "Polski Walczącej" przekaz pieniężny na sumę £28,—z prośbą o przekazanie do P.C.K. na rzecz Pomocy Polakom w Rosji.

Ofiarność nasza jest niesłabnąca, jak niesłabnącą jest praca nasza.

Kto nas prześcignie?

Czekamy!

Personel Polskiej Szkoły Pilotażu

* * *

Przesyłamy składkę z pierwszej niedzieli miesiąca na naszych Braci-Rodaków w Rosji.

Składka ta dała	£10 sh.1 d.11	
Prócz tego indywidualnie złożyli:		
P. S. Januszewska		sh. 2
Chorzy ze sali 81		sh.12
P. Stan. Gozd. ogniom.		sh.12
P. M. Kuehnowa		sh. 2 d.6
K. P.	£1	
P. Jadw. Kowalska ku uczczeniu imienin swej siostry Kazimiery /w Rosji/	£1	
Razem	£13 sh.10 d.6	

Personel i chorzy Szp. Woj. Nr. 2

* * *

Wielmożny Panie Redaktorze,

przesyłam w załączeniu £5 na pomoc dla Polaków w Rosji. Jednocześnie zwracam się do licznych ciułaczy "funciaków," by już teraz przyszli z pomocą krewnym i znajomym w Rosji. Liczenie bowiem na pomożenie im po powrocie do Polski z większą "forsą" może okazać się problematyczne i spóźnione.

W.T. St. ogn. 2 1 p.a.l.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. ppłk. inż. Stanisława Hegnera złożyli na pomoc dla Polaków w Rosji kwotę £15.10.0 koledzy z Londynu.

* * *

Na pomoc dla Polaków w Rosji złożyli w Kantynie Polskiej w Perth podczas zjazdu Polaków emigrantów z Belgii: Józef Rohde 10 sh., Wojciech Suszko 5 sh., Adam Kaliszan 5 sh., Julian Kotynia, 5 sh.

* * *

Rozumiejąc obecne położenie i straszne warunki, w jakich żyją nasi rodacy w Rosji przesyłamy tę skromną kwotę zarobionych pieniędzy /£5/.

Uczenice Gimnazjum Liceum Żeńskiego im. Marii Curie-Skłodowskiej

* * *

Dnia 17-go lutego b.r. Batalion 3 "Bogaczy" I Brygady Strz. urządził zabawę, której czysty zysk /£36/ przesyłam. Jednocześnie uprzejmie komunikuję, że 1-go marca urządziliśmy koncert na ten sam cel. Dochód wyniesie około £70, które wkrótce przekażę redakcji "Polski Walczącej."

Oficer Oświatowy 3 B.

* * *

W dowód pamięci o swej rodzinie, z którą nie nawiązałem dotychczas kontaktu—przesyłam £5 z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji.

Kpt. St.Z.

* * *

Zamiast upominku dla dowódcy kpt. J.W. opuszczającego naszą jednostkę składamy £1 13 sh. na Pomoc dla Polaków w Rosji.

Por. Aleksander S.

* * *

Nadto przysłali na ten cel: uczniowie Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Dunalastair House £9, p. Maria Prz. 7 sh. "otrzymane tyt. wynagrodzenia za uszycie koszul"; p. Kazimierz W. zamiast imieniu £1; p. Żuk Rothert zamiast kwiatów w dniu pogrzebu stryja Kazimierza Rotherta 5sh.; bezimiennie "zamiast kwiatów imieninowych w dn. 13.III" 10 sh. na Polaków w Rosji, 10 sh. na jeńców w Niemczech.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £122 10 sh. 6d. /słownie: sto dwadzieścia dwa funty, dziesięć szylingów, sześć pensów/, przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

S u m a p o w y ż s z a p o d n o s i o g ó l n ą s u m ę z e b r a n ą d o t y c h c z a s z a p o ś r e d n i c t w e m "P o l s k i W a l c z ą c e j" d o £ 6 7 3 /s ł o w n i e: s z e ś c i u s e t s i e d e m d z i e s i ę c i u t r z e c h f u n t ó w/.

Skrzynka pocztowa

Redakcja "Polski Walczącej" prosi uprzejmie Dowódcę 1 Komp. Ppanc. kpt. J.W. o porozumienie się z nią, ponieważ sygnalizowane w liście z 1-go b.m. pieniądze na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji dotychczas nie nadeszły.

* * *

Od jednego z naszych Czytelników /marynarza na polskim okręcie wojennym/ otrzymaliśmy zapytanie w sprawie listu "jakiegoś księdza z Wilna." "Ja pochodzę—pisze on—z Wileńszczyzny i chciałbym wiedzieć, ja i moi koledzy co pisał ten ksiądz z Wilna, który jest w Rosji." Przedrukowujemy w całości list Ojca Kucharskiego, o który idzie naszemu Czytelnikowi:

Hola, Panowie emigranci!

Niedawno wyszedłem z więzienia w Z.S.R.R. Wracam powoli do zdrowia i życia. Przeżywałem z narodem swoim w Kraju okres od września 1939 do końca maja 1941. Należałem tam do tych, co myślą za ogół i biorą całkowitą odpowiedzialność za dyrektywy, które swemu społeczeństwu dają. Mam więc dostateczną podstawę do wydawania sądu o sposobie myślenia i czucia Rodaków w Kraju.

Obecnie przeglądam materiały i dokumenty emigracji, by sobie wyrobić sąd o poziomie duchowym naszej emigracji. Z bólem stwierdzić muszę, że tej solidarności i jedności narodowej, jaka cechuje społeczeństwo polskie w Kraju, ani śladu nie widzę u naszej emigracji. Jeszcze więcej mnie razi i boli to kłębowisko żmij, jakie dostrzegam w sercach emigrantów, omawiających sprawy polskie. Tyle w nich żmijowego jadu porachunków osobistych, a tak mało głosu niepokoju przez uczciwie Polskę kochające serca. Oburzają mnie do żywego fakty zabierania głosu przez emigrację w imieniu społeczeństwa polskiego w Kraju w ich wystąpieniach prasowych przeciw Generałowi Władysławowi Sikorskiemu.

Hola! Panowie emigranci!

Ignacy Matuszewski w artykule "Największe niebezpieczeństwo" /Nowy Świat 4.12.41/ rzuca tezę, że:

"... Obecny gabinet Generała Sikorskiego oparty jest na mniejszości społeczeństwa polskiego. Na mniejszości prawdopodobnie niklejszej, niż wynikało by to z odcyfrowania klucza partyjnego."

Czyżbyście to wy, panowie emigranci, byli społeczeństwem polskim? Ale raczej podstawiajcie Wasze dostojne głowy pod kran z zimną wodą, bo czas najwyższy z tej megalomanii się wyzwolić!

Społeczeństwo polskie to przede wszystkim społeczeństwo w Kraju. Dało ono i ciągle daje takie dowody zdrowia moralnego, tężyzny i niezłomności ducha, że zdobyło dla siebie zdumienie, podziw i szacunek całego cywilizowanego świata. To właśnie społeczeństwo polskie w Kraju, wierzy i ufa Rządowi Generała Sikorskiego bez zastrzeżeń i jest pewne, że on nie zaprzepaści interesów Rzeczypospolitej Polskiej. W Generale Sikorskim, w jego olbrzymim dziś autorytecie, w jego wybitnej indywidualności, widzi społeczeństwo polskie w Kraju gwarancję pełnej niezależności i samodzielności Rządu Polskiego, w obecnych warunkach emigracyjnych. Dla społeczeństwa polskiego w Kraju Gabinet Generała Sikorskiego będzie zasługiwać na zaufanie.

Aby mu tylko nie rzucali belek pod nogi panowie emigranci, którzy tak chyżo unosili z Kraju swoją delikatną skórę. Widać dosyt emigracyjny oślepia ich. Szkoda, że nie przeszli z całym narodem szkoły cierpienia. Może wtedy nauczyliby się myśleć i czuć z całym społeczeństwem polskim.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem w Wojsku Polskim niedawno, bo od czterech zaledwie miesięcy. Przyjechałem tutaj do Szkocji z dość daleka i w sposób dość skomplikowany. Wiele rzeczy mi się tu bardzo podoba, a wśród nich bardzo lubię "Polskę Walczącą," tygodnik doskonały, barwny i urozmaicony, który ogromnie chętnie czytam. Nie wiem, czy to jest specjalnie ważne, żeby Pan znał moją opinię o piśmie przez Pana redagowanym, ale już stało się—napisałem.

Tadeusz Chilik

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Potwierdzam z podziękowaniem odbiór £1, przesłanego mi jako honorarium i jednocześnie zawiadamiam, że sumę tę przekazałam Czerwonemu Krzyżowi na paczki dla jeńców.

Łączę wyrazy poważania,

Prof. M. Skalińska

W Y D A J E B I U R O P R O P A G A N D Y I O Ś W I A T Y.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
P r z e d r u k d o z w o l o n y t y l k o z a p o d a n i e m ź r ó d ł a.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1: Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.